Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg

Michaił Bakunin
Bóg i Państwo
1882

pl.anarchistlibraries.net

Bóg i Państwo

Michaił Bakunin

1882

Spis treści

WSTĘP 3

Rozdział I **4**

Rozdział II **16**

Rozdział III **43**

Rozdział IV *Credo quod absurdum* **58**

WSTĘP

Michaił Bakunin zaczął pisać tę pracę w 1870 r. w Marsylii, zafrapowany wypadkami wojny franko-pruskiej. Początkowo zamierzał napisać broszurę, ale praca rozrastała się i przekształcała w książkę, pisaną jednak fragmentami i bez całościowego planu. W tym czasie całość miała nosić tytuł: „Rewolucja socjalna czy dyktatura wojenna?" 16 kwietnia 1871 r. Bakunin zmienił ten tytuł na „Imperium knuto-germańskie a rewolucja społeczna". W końcu kwietnia 1871 roku pierwsza część pracy została opublikowana. Stronice 139-210 rękopisu, zatytułowane „Historyczne sofizmaty doktrynerskiej szkoły komunistów niemieckich", były już złożone, ale nie wydrukowane. Ponieważ jednak nie starczyło potrzebnych na druk pieniędzy, Bakunin zajął się innymi sprawami i praca pozostała niezakończonym i nie uporządkowanym zbiorem fragmentów.

Część manuskryptu zatytułowanego „Historyczne sofizmaty doktrynerskiej szkoły komunistów niemieckich" (stronice 149 – 247 rękopisu, bez zagubionych trzech stron: 211-213) została wydana w 1882 roku przez anarchistów Carlo Cafiero i Elisee Reclusa w postaci oddzielnej broszury pod tytułem „Bóg i państwo", tytuł pochodził od wydawców. Broszura była tłumaczona na wiele języków i wielokrotnie wznawiana. Tekst w niniejszym wydaniu podajemy częściowo według przekładu Zofii Krzyżanowskiej zamieszczonego w drugim tomie „Pism Wybranych" Bakunina (Warszawa 1965), częściowo według zredagowanego pierwszego przekładu polskiego „Bóg i Państwo" (Genewa 1889, Wydawnictwo „Walka Klas").

Rozdział I

Kto ma rację, idealiści czy materialiści? Skoro zagadnienie zostało tak postawione, nie można się wahać. Nie ulega żadnej wątpliwości, że idealiści nie mają słuszności i że jedynie materialiści mają rację. Tak jest, fakty panują nad ideami; ideał – jak mówi Proudhon – jest kwiatem, którego korzeń stanowią materialne warunki istnienia. Tak jest, cała intelektualna i moralna, polityczna i społeczna historia ludzkości jest odbiciem jej historii ekonomicznej.

Wszystkie gałęzie nowoczesnej nauki, o ile są sumiennie i poważnie opracowane, głoszą zgodnie tę wielką, tę podstawową i rozstrzygającą prawdę: tak, świat społeczny, świat w ścisłym znaczeniu ludzki, słowem, ludzkość jest tylko ostatecznym i najwyższym rozwojem – przynajmniej dla nas i względnie na naszej planecie – jest najwyższym przejawem tego, co zwierzęce. Ale wobec tego, że każdy rozwój nieuchronnie zawiera w sobie negację swojej podstawy lub punktu wyjścia, ludzkość jest w swej istocie jednocześnie świadomą i ciągle wzrastającą negacją tego, co zwierzęce w człowieku. I właśnie ta negacja, zarówno racjonalna jak naturalna, która jest racjonalna, dlatego tylko, że jest jednocześnie historyczna i logiczna, zdeterminowana jak każdy proces rozwojowy i każda realizacja prawa naturalnego w świecie – właśnie ta negacja stanowi i tworzy ideał, świat intelektualnych i moralnych przekonań – idee.

Tak jest, naszymi praprzodkami, naszymi Adamami i naszymi Ewami, były, jeżeli nie goryle, to ich bardzo bliscy krewni – zwierzęta wszystkożerne, rozumne i okrutne, które posiadają w stopniu nieskończenie wyższym niż zwierzęta wszystkich innych gatunków dwie cenne właściwości, mianowicie zdolność myślenia oraz zdolność, potrzebą buntu.

Te dwa uzdolnienia, łącząc w procesie historycznym swoje działanie, reprezentują właśnie ten „czynnik”, tę stronę, siłę negatywną w pozytywnym rozwoju tego, co zwierzęce w człowieku, i w rezultacie wytwarzają to wszystko, co w ludziach jest ludzkie.

Biblia, księga bardzo interesująca, a w niektórych miejscach bardzo głęboka, jeśli traktować ją jako jeden z najważniejszych zachowanych przejawał sprytnie, dla użytku uczącej się młodzieży Francji metafizyczne danie swojego rodzaju, którego spożywanie miało zostać obowiązkiem we wszystkich szkołach państwa, podległych uniwersytetowi. Na taki to pokarm niestrawny fatalnie skazano wiele pokoleń.

(W tym miejscu rękopis się urywa)

Z tego względu, protestantyzm jest dużo wygodniejszy. To religia doskonała dla burżuazji. Zezwala na tyle wolności ile potrzebuje burżuj i znalazła środek pogodzenia aspiracji niebiańskich z szacunkiem jakiego wymagają sprawy ziemskie. Dlatego handel i przemysł rozwinęły się w krajach protestanckich.

Ale burżuazja francuska nie mogła przejść na protestantyzm. Żeby zmienić religię na inną – chyba, że z wyrachowania jak Żydzi z Rosji i Polski, którzy chrzczą się po trzy i po cztery razy dla tyleżkrotnego otrzymania nagrody – do poważnej zmiany religii trzeba mieć chociaż odrobinę wiary. A w pozytywnym zupełnie sercu francuskiego burżuja nie ma miejsca dla wiary. On odznacza się obojętnością wobec tych kwestii, które nie tyczą się w pierwszej kolejności jego kieszeni.

On jednakowo jest obojętny i na katolicyzm, i na protestantyzm. Z drugiej strony burżuj francuski nie mógłby przejść na protestantyzm i jednocześnie nie popaść w sprzeczność z rutyną katolicką większości, co byłoby wielką nieostrożnością ze strony klasy pretendującej do rządzenia narodem. Zostawał wprawdzie jeden środek: wrócić do religii ludzkiej i rewolucyjnej XVIII wieku. Ale to zaprowadziłoby zbyt daleko.

Burżuazja więc zmuszona była dla usankcjonowania nowego państwa stworzyć nową religię, która mogłaby nie narażać jej zbytnio na śmieszność i skandal i zostać otwarcie przyjętą przez całą klasę burżuazyjną.

I w ten sposób powstał deizm doktrynerski.

Inni już opisali to lepiej niż ja mógłbym to zrobić, historię powstania i rozwoju tej szkoły, która miała wpływ tak stanowczy i można to śmiało powiedzieć tak opłakany na wychowanie polityczne, intelektualne i moralne młodzieży burżuazyjnej we Francji. Ona datuje się od Benjamina Constant i pani de Stael; jej prawdziwym założycielem był Royer-Collard, – jej apostołami: Guizot, Cousin, Villemain i wielu innych. Jej celem, głośno przyznanym było pojednanie rewolucji z reakcją, lub żeby powiedzieć językiem szkoły – zasady wolności z zasadą władzy i naturalnie na korzyść tej ostatniej.

To pojednanie znaczyło: w polityce skradzenie wolności ludowej na korzyść panowania burżuazyjnego, reprezentowanego przez państwo monarchistyczne i konstytucyjne; w filozofii – rozmyślna uległość wolnego rozumu wiecznym zasadom wiary.

Wiadomo, że system ten szczególniej opracował Cousin, ojciec eklektyzmu francuskiego. Mówca powierzchowny i pedantyczny, niezdolny do żadnego oryginalnego pomysłu, do żadnej samodzielnej myśli, ale bardzo wprawny w ogólniki, które brał za zdrowy rozsądek, znakomity ten filozof przygotowów ludzkiej mądrości i fantazji, wyraża tę prawdę, zresztą w sposób niezmiernie naiwny, w micie o grzechu pierworodnym. Spośród wszystkich bogów kiedykolwiek uwielbianych przez ludzi Jehowa jest bogiem niewątpliwie najbardziej zawistnym, najbardziej próżnym, najbardziej okrutnym, najbardziej niesprawiedliwym, najbardziej krwiożerczym, jest największym despotą i największym wrogiem godności i wolności ludzkiej. Stworzywszy Adama i Ewę, nie wiadomo, dla jakiej zachcianki, być może, by rozproszyć nudę, która musiała mu straszliwie dokuczać w tej jego odwiecznej egoistycznej samotności, czy też by dostarczyć sobie nowych niewolników – wspaniałomyślnie oddał w ich władanie całą ziemię wraz ze wszystkimi płodami i ze wszystkimi zwierzętami istniejącymi na ziemi, pozwalając w pełni używać jej darów z jednym tylko ograniczeniem: kategorycznie zabronił im spożywać owoce z drzewa poznania. Chciał więc, aby człowiek, pozbawiony świadomości samego siebie, pozostał po wieczne czasy zwierzęciem, chodził zawsze na czworakach przed odwiecznym Bogiem, swym Stwórcą i Panem. Lecz oto zjawia się Szatan, odwieczny buntownik, pierwszy wolnomyśliciel i pierwszy bojownik o emancypację światów. On ukazuje pierwszym ludziom, jak wielką hańbą jest ich zwierzęca ignorancja i posłuszeństwo; wyzwala człowieka, na jego czole wyciska pieczęć wolności i człowieczeństwa, skłaniając go do nieposłuszeństwa i spożycia owocu poznania.

Wiadomo, co nastąpiło dalej. Pan Bóg, którego zdolność przewidywania, jeden z atrybutów boskości, powinna go była ostrzec przed tym, co nastąpi, uniósł się straszliwym i śmiesznym gniewem: przeklął Szatana, człowieka i świat, który sam stworzył, zadając jak gdyby cios samemu sobie w swoim własnym tworze, jak to czynią dzieci, kiedy się rozgniewają; i nie zadowolił się ukaraniem ówczesnych naszych przodków, lecz przeklął wszystkie ich przyszłe pokolenia, nie winne popełnionego grzechu przez przodków. Nasi katoliccy i protestanccy teologowie uważają, że wyrok ten jest bardzo głęboki i słuszny – chyba właśnie dlatego, że jest tak potwornie niesprawiedliwy i niedorzeczny! Następnie Bóg, przypomniawszy sobie, że jest nie tylko Bogiem zemsty i gniewu, lecz także Bogiem miłości, gdy już wydał na męki życie kilku miliardów biednych istot ludzkich i skazał je na wieczyste piekło, zlitował się nad resztą i chcąc zbawić tę resztę i pojednać swą odwieczną i boską miłość ze swym odwiecznym i boskim gniewem, zawsze żądnym ofiar i krwi, zesłał na ziemię jako ofiarę przebłagalną swego jedynego syna, by został umęczony przez ludzi. Jest to tajemnica Odkupienia, podstawa wszystkich religii chrześcijańskich. Gdyby przynajmniej ten boski Zbawiciel zbawił świat ludzki! Bynajmniej; wiemy, gdyż tak głosi oficjalnie Kościół, że obiecany przez Chry-

stusa raj stanie się udziałem nielicznej garstki wybranych. Reszta, olbrzymia większość pokoleń obecnych i przyszłych, będzie się wiecznie prażyć w piekle. Tymczasem, żeby nas pocieszyć, Bóg zawsze sprawiedliwy, zawsze dobry, oddaje ziemię pod rządy Napoleonów III, Wilhelmów I, Ferdynandów austriackich oraz Aleksandrów wszechrosyjskich.

Takie oto niedorzeczne baśnie rozpowszechnia się dzisiaj, takie potworne doktryny wykłada się w dziewiętnastym stuleciu, i to we wszystkich szkołach ludowych w Europie, na specjalny rozkaz rządów. I to się nazywa cywilizowaniem ludów! Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że wszystkie te rządy są trucicielami, systematycznie ogłupiającymi masy ludowe w imię własnych interesów?

Odszedłem od przedmiotu, dałem się unieść gniewowi, który opanowuje mnie zawsze, ilekroć myślę o niecnych i występnych środkach, które stosują państwa, by utrzymać narody w wiecznej niewoli i aby oczywiście w ten sposób jeszcze bardziej je ograbiać. Czymże są zbrodnie wszystkich Troppmannów[1] świata wobec tej zbrodni obrazy ludzkości, jaką popełniają codziennie, w biały dzień, na całym cywilizowanym świecie, ci sami ludzie, którzy ośmielają się nazywać siebie opiekunami i ojcami ludów? Wracam do mitu o grzechu pierworodnym.

Bóg przyznał słuszność Szatanowi i potwierdził prawdziwość słów diabła, aż Adam i Ewa w zamian za akt nieposłuszeństwa otrzymają wiedzę i wolność. Gdy bowiem tylko spożywali zakazany owoc. Bóg powiedział do siebie samego (zob. Biblię): „Oto człowiek stał się jak gdyby jednym z Nas, poznał dobro i zło; nie dopuśćmy więc, aby spożywał owoc życia wiecznego i aby stał się, jak My, nieśmiertelny".

Przestańmy zajmować się teraz bajeczną stroną tego mitu i rozpatrzmy jego prawdziwy sens. Ten sens jest zupełnie jasny. Człowiek wyzwolił się, odłączył od świata zwierzęcego i stał się człowiekiem; zapoczątkował swoją historię i swój czysto ludzki rozwój przez akt nieposłuszeństwa i poznania, tj. przez bunt i przez myśl.

Trzy elementy lub – jeżeli wolicie – trzy podstawowe zasady decydują o głównych warunkach całego rozwoju ludzkiego w historii, zarówno kolektywnego, jak indywidualnego: 1° zwierzęcość ludzka; 2° myśl; 3° bunt. Pierwszemu elementowi właściwie odpowiada ekonomia społeczna i prywatna; drugiemu – nauka; trzeciemu – wolność.

[1] Troppmann Jean Baptiste (1849-1870) – osławiony kryminalista, morderca 7-osobowej rodziny, skazany na karę śmierci po głośnym procesie w Paryżu. (przyp. red.)

cza się tym charakterystycznym rysem, że ta argumentacja jakkolwiek może się wydawać bardzo wymowna, nie była dla niego wystarczająca na dłuższą metę. Żeby zyskać szacunek, potrzebna jest jakakolwiek moralna sankcja. Potrzeba nadto by była ona jasna i prosta. By przekonywała masy do moralnego uznania praw państwowych.

Istnieją tylko dwie metody do przekonania mas o wartości jakiejkolwiek społecznej instytucji. Pierwszy, jedynie rzeczywisty, ale i najtrudniejszy do zastosowania zawiera w sobie zniesienie państwa, to jest zniesienie wyzysku politycznie zorganizowanej większości przez mniejszość, pierwszy – powtarzam – polegałby na bezpośrednim i zupełnym zadośćuczynieniu potrzeb i pragnień ludu, coby się równało likwidacji klasy burżuazyjnej, oraz – powtarzam to jeszcze raz – zniesieniu państwa.

Drugim środkiem przeciwnie, fatalnym wprawdzie dla ludu, ale nieocenionym dla ocalenia przywilejów burżuazji, może być tylko religia. Ona jest wiecznym urojeniem, które popycha masy do szukania skarbów boskich, podczas gdy znacznie bardziej przebiegła klasa rządząca zadowala się podziałem pieniędzy między siebie. Podziałem bardzo nierównym.

Nie ma i nie może być państwa bez religii. Weźcie państwa najwolniejsze na świecie, Stany Zjednoczone Ameryki, lub Związek Szwajcarski i zobaczcie jak ważną rolę tam odgrywa we wszystkich działaniach rządowych boska opatrzność, ta najwyższa sankcja wszystkich państw.

Za każdym razem, kiedy naczelnik państwa mówi o bogu, czy to cesarz niemiecki, czy prezydent jakiejś republiki, bądźcie pewni, że przygotowuje się on do strzyżenia na nowo swego ludu.

Z chwilą, w której burżuazja francuska, liberalna i wolteriańska pchnięta przez swój temperament do pozytywizmu (żeby nie powiedzieć materializmu) dziwnie wąskiego i brutalnego, została klasą rządzącą, dzięki swemu zwycięstwu z 1830 r., państwo musiało sobie nadać rządową religię. Była to rzecz trudna. Burżuazja nie mogła poddać się cynicznie jarzmu rzymskiego katolicyzmu.

Między burżuazją, a kościołem rzymskim panowała przepaść krwi i nienawiści. Francuski burżuj ośmieszyłby się gdyby wrócił do kościoła i brał udział w pobożnych ćwiczeniach i obrządkach kościelnych, a jest to warunek szczerego nawrócenia. Niektórzy próbowali, ale to bohaterstwo z ich strony nie dało żadnego rezultatu poza skandalem. Wreszcie powrót do katolicyzmu był niemożliwy z powodu sprzeczności interesów między niezmienną polityką Rzymu, a rozwojem interesów ekonomicznych i politycznych klasy średniej.

W reakcji na sytuację burżuazja znów zwróciła się w stronę rewolucji, a wraz z tym obudził się w niej także duch niewiary. Znowu stała się niedowiarkiem. Odłożyła Chateaubrianda i znowu zaczęła czytać Woltera, ale nie doszła do Diderota, jej słabe nerwy nie mogły tego stawić. Wolter umysł potężny i deistyczny bardzo jej się natomiast podobał.

Beranger i P.L. Courier doskonale wyrazili tę nową tendencję. „Bóg dobrych ludzi" i ideał mieszczańskiego króla, jednocześnie liberalnego i demokratycznego, odrysowane na tle majestatycznym i dziś już nieszkodliwym olbrzymich zwycięstw cesarstwa, taki był w tej epoce obraz rządu społeczeństwa, jaki sobie burżuazja francuska rysowała. Lamartine, pobudzony przez dziwaczną i śmieszną chęć wzniesienia się do wysokości poetyckiej wielkiego Byrona, próbował sławić boga, szlachtę i monarchię, ale jego pieśni trafiały tylko na salony arystokratyczne. Burżuazja ich nie słyszała. Beranger był jej poetą, a Courrier jej pisarzem politycznym.

Skutkiem rewolucji lipcowej było uszlachetnienie upodobań burżuazji. Wiadomo, że każdy burżuj we Francji nosi w sobie wygasły typ szlachcica-burżuja, typ który nigdy nie omieszka zjawić się, skoro dorobkiewicz nabywa bogactwa i władzę. W 1830 roku bogata burżuazja ostatecznie zastąpiła szlachtę u władzy. Dążyła ona naturalnie do utworzenia nowej arystokracji. Arystokracji kapitału, dystyngowanej, dobrze ułożonej i delikatnych uczuć. Zaczęła się nawet poczuwać do religijności.

To nie było z jej strony zwyczajne małpowanie obyczajów arystokratycznych. To była także konieczność, wynikająca z sytuacji. Proletariat oddał jej ostatnią przysługę, pomagając jej jeszcze raz obalić szlachtę. I znowu burżuazji proletariat stał się niepotrzebny, bo poczuła się usadowiona na tronie lipcowej monarchii; przymierze z ludem stało się wręcz niedogodne. Trzeba było przypomnieć ludowi jego dawne stanowisko, co nie mogło się stać bez wywołania oburzenia mas. Wypadło więc na utrzymywanie go w ucisku, ale w imię czego? W imię interesu burżuazji przyznanego bez ogródek? To byłoby zbyt cyniczne. Im bardziej interes jest nieprawy, nieludzki, tym bardziej wymaga jakiejś legitymizacji. A gdzie taką znaleźć, jeśli nie w religii, tej poczciwej opiekunki wszystkich nasyconych i tej tak pożytecznej pocieszycielki zgłodniałych? I bardziej, niż kiedykolwiek tryumfująca burżuazja zrozumiała, że religia jest nieodzowną dla ludu.

Zdobywczyni wszystkich swych tytułów do sławy: opozycję religijną, filozoficzną i polityczną oraz rewolucję burżuazja została wreszcie klasą panującą, a tym samym obrończynią i stróżem państwa, prawdziwego narzędzia panowania. Państwo to władza i ma za sobą prawo siły. Ale człowiek odzna-

Idealiści wszystkich szkół, arystokracja i bourgeois, teologowie i metafizycy, politycy i moraliści, duchowni, filozofowie czy poeci – nie zapominajmy tu też o liberalnych ekonomistach, niepohamowanych, jak wiadomo, wielbicielach ideału – czują się głęboko dotknięci, gdy słyszą, że człowiek z całą swą świetną inteligencją, ze swymi wzniosłymi ideami i nieskończonymi dążeniami jest tylko, jak wszystko, co istnieje na świecie, materią, wytworem tej pospolitej materii.

Moglibyśmy im odpowiedzieć, że materia, o której mówią materialiści, materia żywiołowo i wiecznie zmienna, aktywna, twórcza, materia o określonych prawach chemicznych czy organicznych i przejawiająca się we własnościach czy siłach mechanicznych, fizycznych, zwierzęcych i intelektualnych, z którymi jest nierozłącznie związana – że ta materia nie ma nic wspólnego z pospolitą materią idealistów. Ta pospolita materia, wytwór ich błędnej abstrakcji, jest rzeczywiście tworem głupim, bezdusznym, nieruchomym, niezdolnym do wytworzenia czegokolwiek, nawet najdrobniejszej rzeczy, jest caput mortuum, szkaradnym wyobrażeniem przeciwstawnym temu pięknemu wyobrażeniu, które oni nazywają Bogiem, Istotą Najwyższą. Wobec Boga materia, w ich właśnie ujęciu, ogołocona przez nich samych z wszystkiego, co stanowi jej rzeczywistą naturę, reprezentuje z konieczności najwyższy Niebyt. Odebrali materii rozum, życie, wszystkie określające ją jakości, aktywność w stosunkach czy siłę, nawet sam ruch, bez którego nie posiadałaby nawet wagi – pozostawili jej tylko absolutną nieprzenikliwość i nieruchomość w przestrzeni; te wszystkie siły, własności i przejawy naturalne przypisali Istocie wyimaginowanej, stworzonej przez ich abstrakcyjną fantazję; następnie odwracając role, ten wytwór własnej wyobraźni, to widmo, tego Boga, który jest Nicością, nazwali „Istotą Najwyższą"; i w nieuniknionej konsekwencji oznajmili, że wszystko, co realnie istnieje, materia, świat – jest Nicością. Po czym z całą powagą powiedzieli, że materia ta nie jest zdolna wytworzyć niczego, nie jest zdolna nawet wprawić się sama w ruch, że więc musiała być stworzona przez ich Boga.

W zamieszczonym na końcu tej książki Dodatku[2] wykazałem, do jakich naprawdę oburzających absurdów doprowadzają nieuchronnie owe wyobrażenia Boga bez względu na to, czy przedstawiają go one w postaci osoby, stwórcy i rządcy światów, czy też w nieosobowej postaci ujętej jako pewien rodzaj boskiej duszy rozpostartej w całym wszechświecie, która stanowi w ten sposób odwieczną zasadę, czy też w postaci idei nieskończonej i boskiej,

[2] Dodatek nie wchodzi w zakres wydania polskiego. (przyp. red.)

zawsze obecnej i działającej w świecie, która przejawia się ciągle we wszystkich istotach materialnych i skończonych. W tym miejscu ograniczę się do jednej tylko sprawy.

Wszyscy doskonale rozumieją, czym jest stopniowy rozwój świata materialnego, jak również rozwój życia organicznego, zwierzęcego, oraz historycznego postępu inteligencji ludzkiej, zarówno indywidualnej jak społecznej. Jest to ruch całkowicie naturalny od prostego do złożonego, od dołu do góry czy od niższego do wyższego; jest to ruch zgodny ze wszystkimi naszymi codziennymi doświadczeniami, a więc zgodny także z wrodzoną nam logiką, z prawami właściwymi naszemu umysłowi, który zawsze kształtuje się i może się rozwijać jedynie przy pomocy tych właśnie doświadczeń, których jest tylko – że tak powiem – odtworzeniem myślowym, mózgowym, czy też refleksyjnym streszczeniem.

System idealistów przedstawia nam coś wręcz przeciwnego. Przekreśla on w sposób absolutny wszystkie doświadczenia ludzkie oraz powszechny i wszystkim wspólny zdrowy rozsądek, który jest koniecznym warunkiem wszelkiego porozumienia między ludźmi i który – wznosząc się od tak prostej i tak jednomyślnie uznanej prawdy, że dwa razy dwa jest cztery, aż do najbardziej wzniosłych i najbardziej skomplikowanych teorii naukowych, a poza tym nie dopuszczając nigdy niczego, co nie byłoby najsurowiej potwierdzone przez doświadczenie lub przez obserwację rzeczy i faktów – stanowi jedyny poważny fundament, na jakim opiera się wiedza ludzka.

Zamiast iść naturalną drogą od dołu ku górze, od niższego ku wyższemu, od względnie prostego ku bardziej skomplikowanemu, zamiast rozumnie, racjonalnie śledzić progresywny i realny ruch świata zwanego nieorganicznym ku światu organicznemu, roślinnemu, a następnie zwierzęcemu, a jeszcze dalej ku specyficznie ludzkiemu; od materii chemicznej czy od istoty chemicznej ku materii ożywionej czy ku istocie żywej, a od istoty żywej ku istocie myślącej – zamiast iść tą drogą, myśliciele idealiści, opętani, zaślepieni i pchani przez boskie widmo, które odziedziczyli po teologii, obierają drogę całkowicie odwrotną. Oni postępują od góry ku dołowi, od wyższego ku niższemu, od skomplikowanego ku prostemu. Zaczynają od Boga bądź jako osobowości, bądź też jako substancji czy idei boskiej, i pierwszy zrobiony przez nich krok staje się strasznym upadkiem z górnych wyżyn wiecznego ideału w bagno świata materialnego; z absolutnej doskonałości do absolutnej niedoskonałości; z dziedziny myśli o bycie, a raczej od Bytu najwyższego – w Niebyt. Kiedy, jak i dlaczego Istota boska, wieczna, nieskończona, doskonałość absolutna, prawdopodobnie znudzona samą sobą, zdecydowała się wykonać to

zagadnień codzienności, ale kiedy przypadkowo już o nich mówili, okazywali się szczerymi reakcjonistami. Brali stronę Kościoła przeciw wolnomyślicielom, króla przeciw narodom i arystokratów przeciw motłochowi.

Zresztą – jak to już powiedzieliśmy przed chwilą – panowała w szkole romantyzmu bierność wobec polityki. Wśród obłoków, w których bujali można było odróżnić tylko dwa realne elementy: rozwój mieszczańskiego materializmu i wyuzdane rozpasanie w indywidualistycznej próżności.

***

Żeby zrozumieć tę romantyczną literaturę, trzeba szukać jej racji bytu w ewolucji, jakiej uległa burżuazja po rewolucji 1793 roku.

Od renesansu i reformacji aż do rewolucji burżuazja, jeśli nie w Niemczech, to przynajmniej we Włoszech, Francji, Szwajcarii, Anglii, Holandii była bohaterem i przedstawicielem rewolucyjnego geniuszu historii. Z jej łona wychodziła większość wolnomyślicieli XVIII wieku, reformatorzy religijni i apostołowie wyzwolenia ludzkości. Burżuazja tylko rozumie się oparta na potężnych barkach ludu, który wierzył jej, zrobiła rewolucję 1789 i 1793 roku. Ogłosiła detronizację monarchii i kościoła, braterstwo ludów, prawa człowieka i obywatela. Oto jej droga do sławy, nieśmiertelnej!

Wkrótce jednak doszło do rozłamu. Większa część nabywców dóbr narodowych, wzbogaciwszy się już bez oparcia w proletariacie miejskim, ale z oparciem na większości chłopów francuskich, którzy sami stali się właścicielami ziemskimi pragnie już tylko pokoju, ustanowienia porządku publicznego i utworzenia silnego rządu. Ta część burżuazji z radością wsparła dyktaturę Bonapartego i chociaż zawsze wolteriańska, nie patrzyła źle na układ z papieżem i na przywrócenie rządów kleru we Francji. „Religia jest tak niezbędna ludowi".

To znaczy, że część burżuazji, nasycona, zaczęła odtąd rozumieć, iż było odtąd potrzebnym dla zachowania swojego położenia i dóbr dopiero co nabytych oszukiwać niezaspokojony głód ludu obietnicami manny z nieba. Wtedy zaczął Chateaubriand swoje kazania[1].

Napoleon upadł. Dokonano restauracji monarchii, a wraz z nią dawną pozycję kleru i rodowej arystokracji, które odzyskały większą część swoich dawnych wpływów.

[1] Uważam za ważne wspomnieć tu pewną anegdotę, zresztą bardzo znaną i autentyczną, która rzuca światło na wartość tych odgrzewanych wierzeń katolickich i na religijność społeczeństwa tej epoki. Chateaubriand przyniósł księgarzowi dzieło, skierowane przeciwko wierze. Ten zwrócił mu uwagę, że ateizm wyszedł z mody i że publiczność czytająca żąda dziś ponownie dzieł religijnych. Zawrócił i po kilku miesiącach przyniósł swój „Geniusz chrześcijaństwa".

robotę, przekazując najszlachetniejszym umysłom każdego nowego pokolenia to dzieło wyzwolenia ludzkiego, do którego podążało burząc niedorzeczności, aż wreszcie w drugiej połowie osiemnastego stulecia pojawiło się na nowo w biały dzień, podnosząc śmiało sztandar ateizmu i materializmu.

Można było wtedy pomyśleć, że duch ludzki na koniec uwolni się od wszelkiego opętania boskiego. To był błąd. Kłamstwo, oszukujące ludzkość od osiemnastu stuleci (jeśli mówić tylko o chrześcijaństwie) miało jeszcze raz okazać się potężniejszym od prawdy. Nie mogąc dłużej używać czarnego plemienia, kruków uświęconych przez Kościół, księży katolickich lub protestanckich, którzy stracili całą swoją zawziętość, kłamstwo użyło księży świeckich, łgarzy i sofistów w krótkiej sukni, między którymi główna rola spadła na dwóch ludzi fatalnych, z których jeden, umysł najbardziej fałszywy, drugi, wola najbardziej doktrynersko-despotyczna z ostatniego wieku: Rousseau i Robbespierre.

Pierwszy to typ ograniczonego egoisty, dla którego nic się nie liczy poza jego własną osobą. Hipokryta i nieprzebłagany kłamca. Można go uważać za prawdziwego twórcę reakcji. Na pozór najbardziej demokratyczny pisarz XVIII wieku, wydaje jednak z siebie samego najgorszy typ państwowego despotyzmu. Był głosicielem państwa doktrynerskiego, którego Robbespierre, jego wierny uczeń, usiłował zostać pierwszym kapłanem. Usłyszawszy od Woltera, że gdyby nie było boga, trzeba by go było wymyślić Rousseau wymyślił Istotę Najwyższą, abstrakcyjnego boga deistów. W imię Istoty Najwyższej Robbespierre zgilotynował najpierw Heberystów, a następnie Dantona, w osobie którego zabił Republikę, przygotowując grunt pod dyktaturę Napoleona, w tej sytuacji już nieuniknionej.

Po tym wielkim kroku wstecz, reakcja szukała i znalazła apostołów mniej fanatycznych, mniej strasznych, ale bardziej dostosowanych do umiarkowanego postępu współczesnej burżuazji. We Francji byli to: Chateaubriand, Lamartine, a szczególnie Wiktor Hugo; demokrata, republikanin, niemal socjalista! A za nimi cała kohorta melancholijnych umysłów mizernych, które stworzyły pod kierunkiem tych mistrzów szkołę romantyczną. W Niemczech byli nimi: Schlegel, Tieck, Novalis, Werner, Schelling i wielu innych, których imiona nie zasługują nawet na wspomnienie.

Literatura, stworzona przez tę szkołę była panowaniem duchów i upiorów. Nie znosiła światła dziennego. Tylko półmrok pozwalał jej istnieć. Nie znosiła brutalnego zetknięcia się z masami. To była literatura arystokratów, delikatnych, dystyngowanych, wzdychających do nieba i swojej ojczyzny żyjących jakoby pomimo swojej woli na ziemi. Mieli oni wstręt i pogardę do polityki

rozpaczliwe salto mortale – tego żaden idealista ani teolog, ani metafizyk, ani poeta nie był w stanie ani sam zrozumieć, ani też wyjaśnić nie wtajemniczonym.

Wszystkie religie przeszłości i teraźniejszości oraz wszystkie transcendentalne systemy filozoficzne obracają się wokół tej jedynej i niesprawiedliwej tajemnicy[3]. Ludzie święci, natchnieni prawodawcy, prorocy, Mesjasze, szukali w niej życia, a znaleźli torturę i śmierć. Pożarła ich jak starożytny Sfinks, ponieważ nie umieli jej wyjaśnić. Wielcy filozofowie, od Heraklita i Platona do Kartezjusza, Spinozy, Leibniza, Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, nie mówiąc o filozofach hinduskich, napisali góry ksiąg, stworzyli systemy równie pomysłowe, jak wzniosłe, w których wypowiedzieli mimochodem wiele pięknych i wielkich rzeczy, i odkryli prawdy nieśmiertelne, ale tę tajemnicę, zasadniczy przedmiot ich transcendentnych dociekań, pozostawili równie niezgłębioną, jak przedtem. W swych gigantycznych usiłowaniach najwspanialsi geniusze, jakich świat kiedykolwiek znał i jacy przynajmniej w ciągu trzydziestu stuleci podejmowali wciąż na nowo tę syzyfową pracę, osiągnęli tylko tyle, że tajemnica ta stała się jeszcze bardziej niezrozumiała. Czy wobec tego możemy mieć nadzieję, że tajemnica ta będzie odkryta obecnie dzięki rutynowanym spekulacjom jakiegoś pedantycznego zwolennika sztucznie odgrzewanej metafizyki, i to w epoce, kiedy wszystkie żywe i poważne umysły odwróciły się od tej dwuznacznej nauki, zrodzonej na skutek umowy, która bez wątpienia daje się historycznie wytłumaczyć, a zawarta została między nierozsądkiem wiary i zdrowym rozsądkiem nauki?

Jest rzeczą oczywistą, że ta straszliwa tajemnica jest nie do wyjaśnienia, czyli że jest absurdalna, bo tylko absurd nie poddaje się żadnemu wyjaśnieniu. Jest rzeczą oczywistą, że ten, komu ona jest potrzebna do szczęścia, do życia, musi się wyrzec rozumu i powracając – jeżeli może – do naiwnej, ślepej, głupiej wiary, musi powtarzać za Tertulianem wraz ze wszystkimi szczerze wierzącymi w te słowa, w których streszcza się cała kwintesencja teologii: Credo, quia absurdum.[4] Wobec tego ustają wszelkie dyskusje, pozostaje tylko tryumfująca głupota wiary. Lecz natychmiast nasuwa się inne pytanie: W

[3] Nazywam ją „niesprawiedliwą", ponieważ – jak to już, sądzę, wykazałem we wspomnianym wyżej Dodatku – tajemnica ta była i w dalszym ciągu jest uświęceniem wszystkich okropności popełnionych i popełnianych w świecie ludzkim; i nazywam ją „jedyną", ponieważ wszelkie inne niedorzeczności teologiczne i metafizyczne, które ogłupiają rozum ludzki, są nieuniknionymi jej konsekwencjami. (przyp. aut.)

[4] credo, quia absurdum, (łac)., wierzę temu, bo to niedorzeczność (parafraza z Tertuliana, De carne Christi) (przyp. red.)

jaki sposób u inteligentnego i wykształconego człowieka może się zrodzić potrzeba wiary w te tajemnice?

Jest to zupełnie naturalne, że wiara w Boga, stwórcę, władcę, sędziego, nauczyciela, rzucającego przekleństwa, zbawiciela i dobroczyńcę świata zachowała się wśród ludu, zwłaszcza wśród ludności wiejskiej, religijnej w stopniu o wiele jeszcze większym niż proletariat miejski. Niestety, lud trwa ciągle jeszcze w nieuctwie; wszystkie rządy systematycznie starają się go w tym nieuctwie utrzymać, ponieważ, jak sądzą nie bez racji, ignorancja ludu jest jednym z najistotniejszych warunków ich własnej potęgi. Lud w swym codziennym trudzie, który go przytłacza, pozbawiony wolnego czasu, zajęć umysłowych, lektury, słowem, wszystkich niemal środków oraz znacznej części bodźców, które rozwijają myśl w ludziach – przyjmuje najczęściej bezkrytycznie i w całości wszystkie tradycje religijne. Tradycje te, omotujące człowieka z ludu od wczesnego dzieciństwa we wszystkich okolicznościach życiowych i sztucznie utrzymywane w jego sercu przez tłumy wszelkiego rodzaju oficjalnych trucicieli, przez księży i ludzi świeckich, przeobrażają się w nim w rodzaj nawyku umysłowego i moralnego, który nazbyt często staje się silniejszy niż jego wrodzony zdrowy rozsądek.

Niedorzeczne wierzenia ludu można poniekąd wytłumaczyć i usprawiedliwić jeszcze inną przyczyną. Przyczyny tej należy szukać w nędznym położeniu, na które lud jest w sposób fatalny skazany na skutek ekonomicznej organizacji społeczeństwa w najbardziej cywilizowanych krajach Europy. Zmuszony do ograniczenia się – zarówno pod względem intelektualnym i moralnym, jak pod względem materialnym – do minimum, którego wymaga ludzka egzystencja, zamknięty w warunkach swego życia jak więzień w swojej celi, bez żadnych horyzontów, bez żadnego wyjścia, nawet – jeżeli wierzyć ekonomistom – bez przyszłości, lud musiałby mieć dziwnie ciasną duszę i płaski instynkt bourgeois, gdyby zupełnie nie odczuwał potrzeby wydostania się z tego położenia. Istnieją jednak tylko trzy sposoby tego wyzwolenia się, przy czym dwa pierwsze są złudzeniem, trzeci zaś jest realny. Dwa pierwsze sposoby – to karczma i kościół, rozpusta ciała lub rozpusta ducha; trzecim sposobem jest rewolucja socjalna. Twierdzę, że właśnie ten trzeci sposób, rewolucja socjalna, daje w każdym razie o wiele większe szansę niż wszelka teoretyczna propaganda wolnomyślicieli zburzenia – aż do zatarcia po nich wszelkiego śladu – wierzeń religijnych oraz rozpustnych nawyków u ludu, wierzeń i nawyków, gdyż pozostają one ze sobą w bliższym związku, niż się na ogół przypuszcza. Twierdzę dalej, że tylko rewolucja socjalna, która zastąpi rozkosz złudnego, a zarazem brutalnego wyuzdania ciała i duszy

w ogóle każde teologiczne, a także metafizyczne rozumowanie charakteryzuje się usiłowaniem objaśniania jednej niedorzeczności za pomocą innej.

Niezmiernie szczęśliwą okolicznością dla chrystianizmu było to, iż zetknął się on ze światem niewolników. I jeszcze inna szczęśliwa okoliczność: był nią najazd barbarzyńców. Barbarzyńcy byli to ludzie mężni, pełni sił przyrodzonych, a nade wszystko ożywieni i pobudzeni wielkim pragnieniem i wielką zdolnością do życia; byli to zbóje zdolni do wszystkiego, gotowi spustoszyć i pochłonąć cały świat, podobnie jak ich spadkobiercy, współcześni Niemcy. Mieli oni mniej niż ci ostatni systematyczności i pedantyzmu w swoich rozbojach, byli o wiele mniej moralni, mniej wykształceni; natomiast o wiele bardziej niezależni i bardziej dumni, zdolni do nauki i wolnego życia, do którego zdolna nie jest burżuazja współczesnych Niemiec. Przy tych wszystkich wielkich zaletach byli tylko barbarzyńcami, to jest tak samo, jak starożytni niewolnicy, wśród których zresztą wielu rekrutowało się z ich rasy, pozostawali obojętni w stosunku do wszystkich zagadnień teologii i metafizyki. Toteż skoro ich odraza, którą żywili w praktyce, została przełamana, nie było już trudno nawrócić ich teoretycznie na chrystianizm.

W ciągu dziesięciu wieków z rzędu chrześcijaństwa, zbrojny we wszechpotęgę Kościoła i Państwa, nie spotykając współzawodnictwa z czyjejkolwiek strony, mógł zdemoralizować, wypaczyć i przepoić fałszem ducha Europy. Nie miał on żadnych współzawodników, bo na zewnątrz Kościoła nie było wcale myślicieli, nawet ludzi wykształconych. Myślał jedynie Kościół, on jeden przemawiał, pisał, nauczał. Powstające w jego łonie herezje atakowały zawsze tylko ideologiczne lub praktyczne wnioski wysnute z podstawowego dogmatu, lecz nigdy samego dogmatu. Wiara w Boga, czystego ducha i stwórcę świata, oraz wiara w niematerialność duszy pozostały nietknięte. Dwojaka ta wiara stała się ideową podwaliną całej zachodniej i wschodniej cywilizacji europejskiej i przeniknęła, wcieliła się we wszystkie instytucje, we wszystkie dziedziny zarówno publicznego, jak prywatnego życia wszystkich klas, jak również i mas.

Czyż można się po tym wszystkim dziwić, że wiara ta utrzymała się aż do naszych czasów i że w dalszym ciągu wywiera fatalny wpływ nawet na przodujące umysły, na ludzi takich jak Mazzini, Quinet, Michelet i tylu innych? Widzieliśmy, że z pierwszym przeciwko niej atakiem wystąpiło Odrodzenie wolnego ducha w piętnastym wieku, Odrodzenie, które wydało bohaterów i męczenników takich, jak Vanini, jak Giordano Bruno, jak Galileusz.

Odrodzenie, które — choć szybko przytłumione wrzawą, zgiełkiem i namiętnościami Reformacji — prowadziło dalej bez szumu swą niewidzialną

Rozdział IV *Credo quod absurdum*

Mało, że wierzę w niedorzeczność; właśnie i przede wszystkim dlatego wierzę, że jest to niedorzeczność. Tak właśnie wiele znakomitych i światłych umysłów naszych czasów wierzy w magnetyzm zwierzęcy, w spirytyzm, w stoliki wirujące — o mój Boże, po co sięgać tak daleko? — wierzy jeszcze w chrystianizm, w idealizm, w Boga.

Wiara proletariatu w starożytności, podobnie jak później mas żyjących w nowożytnych czasach, była mocniejsza, mniej przesadna, prostsza. Propaganda chrześcijańska zwracała się do ich serc, nie do rozumu; zwracała się do ich wiecznych dążeń, potrzeb, cierpień, do ich niewolnictwa, a nie do jeszcze we śnie pogrążonego umysłu, dla którego nie mogły przeto istnieć sprzeczności logiczne, oczywistość niedorzeczności. Jedyna kwestia ich interesowała: chcieli wiedzieć, kiedy wybije godzina przyrzeczonego wyzwolenia, kiedy nadejdzie królestwo boże. O dogmaty teologiczne nie kłopotali się zupełnie, ponieważ i tak ich nie rozumieli. Proletariat nawrócony na chrystianizm stanowił wschodzącą siłę materialną chrystianizmu, ale nie reprezentował jego teoretycznej myśli.

Jeśli chodzi o dogmaty chrześcijańskie, to były one —jak wiadomo — opracowane w szeregu dzieł teologicznych, literackich oraz przez sobory, głównie przez nawróconych neoplatoników ze Wschodu. Duch grecki upadł tak nisko, że już w czwartym stuleciu ery chrześcijańskiej, w epoce pierwszego soboru, spotykamy się z ideą Boga osobowego, czystego, odwiecznego, absolutnego Ducha, stwórcy i najwyższego władcy świata, istniejącego poza światem, ideą jednomyślnie przyjętą przez wszystkich Ojców Kościoła.

Z logiczną konsekwencją z tej absolutnej niedorzeczności wyłoniła się wiara, odtąd naturalna i konieczna, w niematerialność i nieśmiertelność duszy ludzkiej, która zostaje umieszczona i uwięziona w śmiertelnym ciele, właściwie tylko częściowo śmiertelnym; w tym samym bowiem ciele istnieje pewna część, która będąc cielesną, jest tak nieśmiertelna jak dusza i majak dusza zmartwychwstać. Oto jak było trudno, nawet Ojcom Kościoła, wyobrazić sobie czystego ducha poza wszelką cielesną postacią! Należy zwrócić uwagę, że

przez równie delikatną jak realną rozkosz obcowania z człowieczeństwem całkowicie spełnionym w każdej jednostce i we wszystkich razem, że tylko rewolucja socjalna będzie miała tę siłę, aby zamknąć za jednym zamachem wszystkie karczmy i wszystkie kościoły.

Do tego czasu lud, w swej masie, będzie wierzył, a choć nie ma racji, to przynajmniej ma do tej wiary prawo.

Istnieje kategoria ludzi, którzy, jeśli nie wierzą, muszą przynajmniej udawać, że wierzą. Są to ci wszyscy dręczyciele, ciemięzcy i wyzyskiwacze ludzkości. Księża, monarchowie, mężowie stanu, wojskowi, finansiści publiczni i prywatni, wszelkiego rodzaju urzędnicy, policjanci, żandarmi, dozorcy więzienni i kaci, monopoliści, kapitaliści, lichwiarze, przedsiębiorcy i właściciele, adwokaci, ekonomiści, politycy wszelkiej barwy aż do ostatniego kupca korzennego – wszyscy zgodnie powtarzać będą słowa Voltaire'a:

„Jeżeli Bóg nie istnieje, trzeba go stworzyć". Jest to rzecz zrozumiała. Religia jest potrzebna dla ludu. Jest to klapa bezpieczeństwa.

Istnieje wreszcie dość liczna kategoria ludzi uczciwych, lecz słabych, którzy są zbyt inteligentni, aby poważnie traktować dogmaty chrześcijańskie, i odrzucają je w szczegółach, ale nie posiadają ani odwagi, ani siły, ani koniecznej stanowczości, aby je odrzucić w całości. Ci ludzie pozwalają na krytykę wszystkich niedorzecznych szczegółów religii, śmieją się z wszystkich cudów, ale rozpaczliwie chwytają się głównej niedorzeczności, źródła wszystkich innych, chwytają się cudu, który objaśnia i usprawiedliwia wszelkie inne cuda – wiary w istnienie Boga. Ich Bóg nie jest bynajmniej Istotą silną i potężną, nie jest brutalnie pozytywnym Bogiem teologii. Jest to Istota mgławicowa, przejrzysta, złudna, tak złudna, że kiedy wydaje się, iż się ją uchwyciło, przeobraża się w Nicość; jest to miraż, błędny ognik, który ani grzeje, ani oświeca. A jednak trzymają się oburącz tej Istoty i sądzą, że gdyby ona znikła, wszystko znikłoby z nią razem. Są to dusze niezdecydowane, chorobliwe, nie rozumiejące współczesnej cywilizacji, które nie należą ani do teraźniejszości, ani do przyszłości, to blade widma zawieszone wiecznie między niebem a ziemią i w taki sam sposób zawieszone między polityką burżuazji a socjalizmem proletariatu. Ci ludzie nie czują w sobie siły, by cokolwiek przemyśleć do głębi, by czegoś pragnąć, powziąć decyzję, i tracą wiele czasu i trudu usiłując ciągle pogodzić z sobą to, co jest nie do pogodzenia. W życiu publicznym noszą miano burżuazyjnych socjalistów.

Żadna dyskusja, czy to z nimi, czy przeciwko nim, nie jest możliwa. Są to ludzie zbyt chorzy.

Ale istnieje także liczna kategoria sławnych ludzi, o których nikt nie ośmieli się mówić bez szacunku i w których żywotne zdrowie, siły ducha i uczciwość nikt nie wątpi. Wystarczy, jeśli przytoczę takie nazwiska, jak Mazzini, Michelet, Quinet, John Stuart Mill[5]. Szlachetne i pełne siły dusze, wielkie serca, wielkie umysły, wielcy pisarze, a Mazzini jest przy tym bohaterskim wskrzesicielem i rewolucjonistą wielkiego narodu – wszyscy oni są apostołami idealizmu, gardzą materializmem i są jego zagorzałymi przeciwnikami, a więc gardzą także socjalizmem, zarówno w filozofii jak w polityce.

W samej dyskusji nad kwestią istnienia Boga właśnie opiniom tych ludzi pragnę się przeciwstawić przede wszystkim. Najpierw trzeba stwierdzić, że żaden z tych znakomitych mężów, których nazwiska przytoczyłem, ani też żaden inny spośród wybitnych myślicieli-idealistów naszych czasów nie zajmował się właściwie logiczną stroną tego zagadnienia. Żaden z nich nie próbował rozstrzygnąć filozoficznie, o ile możliwe jest takie boskie salto mortale z wiecznej i czystej sfery ducha do bagna świata materialnego. Czy obawiali się podjęcia problemu tej nierozwiązalnej sprzeczności, nie mając nadziei na jego rozstrzygnięcie, skoro największym geniuszom historii to się nie udało; czy też uważali go za dostatecznie rozwiązany? To już pozostanie ich tajemnicą. Faktem jest, że nie zajmowali się teoretycznymi dowodami istnienia Boga i że szukali tylko przyczyn i konsekwencji tego istnienia w życiu praktycznym. Wszyscy oni mówili o tym jako o fakcie powszechnie uznanym, który jako taki nie może być przedmiotem żadnych wątpliwości; za jedyny dowód służył im fakt dawności i powszechności wiary w Boga. Zdaniem wielu znakomitych ludzi i pisarzy, że wymienimy tylko najsławniejszych spośród nich, a więc według opinii Josepha de Maistre'a, wypowiedzianej z taką elokwencją – oraz według wielkiego patrioty włoskiego, Giuseppe Mazziniego – ta imponująca jednomyślność więcej znaczy niż wszelkie naukowe dowody, a jeżeli logika nielicznych konsekwentnych, choćby najpoważniejszych, lecz odosobnionych w swych poglądach myślicieli prowadzi do przeciwnych wniosków, to tym gorzej – powiadają – dla tych myślicieli i dla ich logiki, ponieważ ogólna zgoda i powszechne od dawna uznanie pewnej idei było

[5] Pan Stuart Mill jest może tym jedynym, w którego prawdziwy idealizm pozwolę sobie wątpić, a to z dwóch przyczyn: po pierwsze, jeżeli nie jest on bezwzględnym wyznawcą, to w każdym razie jest gorącym wielbicielem, zwolennikiem filozofii pozytywnej Augusta Comte, filozofii, która pomimo licznych niedomówień jest rzeczywiście ateistyczną; po drugie, p. Stuart Mili jest Anglikiem, a w Anglii ogłosić się ateistą to znaczy – nawet jeszcze dzisiaj – znaleźć się poza społeczeństwem. (przyp. aut.)

Dla mas było to niesłychane zuchwalstwo i absurd, prawdziwe zgorszenie wiary, zwycięstwo wierzącej głupoty nad rozumem; dla niektórych zaś był to tryumf ironii zmęczonego, zdemoralizowanego, rozczarowanego i zawiedzionego przez uczciwe i poważne poszukiwanie prawdy umysłu, była to potrzeba odurzenia i ogłupienia umysłu, jaką się często spotyka wśród umysłów znudzonych.

Wielką i niezaprzeczoną zasługą chrystianizmu i całą tajemnicą jego niesłychanego, zresztą całkowicie uzasadnionego tryumfu było to, że zwrócił się on do tej cierpiącej i tak licznej społeczności, której świat starożytny, tworząc ciasną i okrutną arystokrację intelektualną i polityczną, odmawiał wszystkiego, nawet przyznania najelementarniejszych praw ludzkich. Inaczej chrystianizm nie mógłby się nigdy rozpowszechnić. Doktryna, którą głosili apostołowie Chrystusa, mogła się wydawać nieszczęśliwym ludziom niezmiernie pocieszającą, była jednak zbyt buntownicza, zbyt niedorzeczna z punktu widzenia rozumu ludzkiego, aby ludzie oświeceni mogli ją przyjąć. Toteż z jakim tryumfem mówi apostoł święty Paweł o zgorszeniu wiary i o zwycięstwie tego bożego szaleństwa odrzucanego przez możnych i mędrców stulecia, lecz tym gorliwiej przyjmowanego przez ludzi prostych, ciemnych i ubogich duchem.

Istotnie, tylko głębokie niezadowolenie z życia, bardzo spragnione serca i niemal absolutne ubóstwo ducha mogły przyjąć niedorzeczności chrześcijaństwa, najbardziej zuchwałe i najbardziej potworne spośród wszystkich niedorzeczności religii.

Religia ta była nie tylko zaprzeczeniem wszystkich instytucji politycznych, społecznych i religijnych czasów starożytnych: obalała ona całkowicie zdrowy rozsądek, cały rozum ludzki. Byt istniejący rzeczywiście, świat realny, został odtąd uznany za nicość; wytwór zaś tej zdolności człowieka do abstrakcyjnego myślenia, ta ostateczna, najwyższa abstrakcja, w której zdolność owa wzniósłszy się ponad wszystko, co istnieje, przekroczywszy najbardziej ogólne determinanty rzeczywistego bytu, takie jak idee czasu i przestrzeni, nie mając już żadnych granic do przekroczenia, odpoczywa kontemplując swą pustkę i bezwład absolutny (zob. Dodatek); ta abstrakcja, to caput mortuum, ta nicość absolutnie wyzuta z jakiejkolwiek treści, nicość prawdziwa – Bóg, zostaje uznana za jedyny byt realny, wieczny, wszechmocny. Wszystko, co realne, uznane zostało za nic, absolutne zaś nic – za Wszystko. Cień staje się ciałem, natomiast ciało znika jak cień[4].

[4] Wiem bardzo dobrze, że już wschodnie systemy teologiczne i metafizyczne, zwłaszcza systemy hinduskie, z buddyzmem włącznie, zawierają ową zasadę unicestwienia świata realnego na rzecz ideału czy absolutnej abstrakcji. Jednakże nie miała ona jeszcze charakteru tej dobrowolnej i świadomej negacji, jaka znamionuje chrystianizm. Wówczas bowiem gdy systemy te były poczęte, świat właściwie ludzki, świat rozumu ludzkiego, świat woli ludzkiej, świat nauki i wolności ludzkiej jeszcze nie był się tak rozwinął, jak się to stało później w cywilizacji grecko-rzymskiej.

zawsze uważane za najbardziej bezsporny dowód prawdziwości tejże idei. Uczucie powszechne, przekonanie, które wciąż powraca i utrzymuje się zawsze i wszędzie, nie może się mylić. Musi mieć swe źródło w potrzebie, która jest integralnie związana z samą naturą człowieka. Ponieważ zaś zostało stwierdzone, że wszystkie narody, zarówno dawne jak współczesne, wierzyły i wierzą w istnienie Boga, jest więc rzeczą oczywistą, że ci, którzy mają nieszczęście w Boga wątpić, bez względu na logikę, jaka ich do tego przywiodła, są nienormalnymi wyjątkami, potworami.

A więc dawność i powszechność wierzeń miałaby stanowić niezbity i dostateczny dowód prawdy, wbrew wszelkiej nauce i wbrew wszelkiej logice. Dlaczego?

Do czasów Kopernika i Galileusza wszyscy wierzyli, że Słońce obraca się wokół Ziemi. Czyż wszyscy się nie mylili? A czyż niewolnictwo nie jest najbardziej dawne i powszechne? A może ludożerstwo? Od zarania istnienia historycznych społeczeństw aż do naszych czasów panował zawsze i wszędzie wyzysk przymusowej pracy mas, niewolników, poddanych czy najemników ze strony jakiejś rządzącej mniejszości; Państwo i Kościół ciemiężyły ludy. Czyżby należało wysnuć stąd wniosek, że wyzysk ten i ucisk są koniecznością integralnie związaną z istnieniem samego społeczeństwa ludzkiego? Oto przykłady, które wykazują, że argumenty adwokatów Pana Boga niczego bynajmniej nie dowodzą.

Obserwując rozwój ludzkości dochodzimy do wniosku, że w istocie żadne panowanie nie jest tak powszechne i tak dawne jak panowanie niesprawiedliwości oraz niedorzeczności, a przeciwnie, prawda, sprawiedliwość są najmniej powszechne i najmniej dawne. To wyjaśnia owo stale w dziejach powtarzające się zjawisko, że niesłychane prześladowania były i są nadal zawsze udziałem tych, którzy pierwsi tę prawdę i sprawiedliwość głoszą, prześladowania ze strony oficjalnych i uznanych przedstawicieli zainteresowanych w utrzymywaniu wierzeń „powszechnych" i „dawnych", a często także ze strony tych samych mas ludowych, które najpierw zadręczają głosicieli prawdy i sprawiedliwości, a wreszcie przyjmują ich idee i doprowadzają do zwycięstwa.

Dla nas, materialistów i socjalistów-rewolucjonistów, nic w tym zjawisku historycznym nie ma dziwnego ani strasznego. My, silni dzięki naszej świadomości, naszemu umiłowaniu prawdy wbrew wszystkiemu, dzięki tej pasji logiki, która sama w sobie stanowi wielką potęgę i poza którą absolutnie nie ma myśli; silni dzięki pasji sprawiedliwości i naszej niezachwianej wierze w zwycięstwo ludzkości nad wszelkim bestialstwem teoretycznym i

praktycznym; silni wreszcie dzięki zaufaniu i wzajemnemu poparciu, jakiego udziela nam niewielka liczba zwolenników naszych przekonań – my musimy się pogodzić z wszelkimi konsekwencjami tego zjawiska historycznego, w którym widzimy przejaw pewnego prawa społecznego, równie naturalnego, równie koniecznego i równie niezmiennego, jak wszystkie inne prawa rządzące światem.

To prawo jest logiczną, nieuniknioną konsekwencją tego, że społeczeństwo ludzkie wywodzi się od zwierząt; otóż wobec tych wszystkich dowodów naukowych, fizjologicznych, psychologicznych, historycznych, jakie się obecnie nagromadziły, jak również wobec wyczynów Niemców, zdobywców Francji, którzy dostarczają nam najbardziej jaskrawych dowodów – naprawdę nie można wątpić, że takie jest rzeczywiście pochodzenie ludzi. Z chwilą jednak, kiedy uznamy tę prawdę o zwierzęcym pochodzeniu człowieka, wszystko się wyjaśnia. Wówczas historia zaczyna się nam przedstawiać jako rewolucyjna negacja przeszłości, raz powolna, apatyczna, ospała, to znowu namiętna i potężna. Historia polega właśnie na progresywnej negacji pierwotnej zwierzęcości człowieka poprzez rozwój jego człowieczeństwa. Człowiek, zwierzę drapieżne, kuzyn goryla, wyszedł z głębokiego mroku zwierzęcych instynktów, by dojść do światła rozumu. W ten zupełnie naturalny sposób stają się dla nas zrozumiałe wszystkie jego dawne błędy i znajdujemy pociechę wobec jego błędów obecnych. Wyszedł z okresu niewolnictwa zwierzęcego i przeszedłszy przez okres niewolnictwa boskiego, stanowiącego etap przejściowy między zwierzęcością a człowieczeństwem, idzie dziś na podbój i ku urzeczywistnieniu swojej ludzkiej wolności. Stąd wniosek, że dawność pewnego wierzenia, pewnej idei nie tylko nie dowodzi ich słuszności, lecz nawet powinna być dla nas podejrzana. Naszą, bowiem zwierzęcość mamy poza sobą, a przed sobą nasze człowieczeństwo. Nauka ludzka, jedyna, która może nas ogrzać i oświecić, jedyna, która może nas wyzwolić, zapewnić nam godność, wolność, szczęście i zrealizować między nami braterstwo, nigdy nie rodzi się u progu historii, lecz biorąc pod uwagę epokę, w której się żyje – rozkwita zawsze przy jej końcu. Nie oglądajmy się więc wstecz, lecz patrzmy zawsze naprzód, bo przed nami jest nasze słońce i nasze zbawienie. Jeśli zaś wolno nam, a jest to na pewno pożyteczne, nawet konieczne, odwrócić się wstecz i podjąć badania nad naszą przeszłością, to tylko po to, aby stwierdzić, czym byliśmy, a czym już być nie powinniśmy, w co wierzyliśmy i jak myśleliśmy, a w co wierzyć i jak myśleć już nie powinniśmy, co czyniliśmy, a czego nigdy więcej nie powinniśmy czynić.

W Aleksandrii ów straszny Bóg Żydów zapoznał się osobiście z metafizycznym Bóstwem Platona, już bardzo skażonym pod wpływem kontaktu ze Wschodem, a deprawującym się jeszcze bardziej na skutek zetknięcia się z Jehową. Pomimo swej narodowej wyłączności Jehowa, zazdrosny i okrutny, nie był w stanie długo się opierać urokowi tego idealnego i nieosobowego Bóstwa Greków. Zaślubił go i z tego małżeństwa narodził się Bóg spirytualistyczny – lecz nie duchowy – Bóg chrześcijan. Jest rzeczą wiadomą, że neoplatonicy aleksandryjscy byli głównymi twórcami chrześcijańskiej teologii.

Jednakże teologia nie stanowi jeszcze religii, podobnie jak elementy historyczne nie wystarczają do stworzenia historii. Elementami historycznymi nazywam ogólne dyspozycje i warunki jakiegoś realnego rozwoju: na przykład w tym wypadku są to podboje Rzymian oraz zetknięcie się Boga Żydów z idealnym Bóstwem Greków. Ażeby zapłodnić elementy historyczne, sprawić, by spowodowały szereg nowych historycznych przemian, trzeba jakiegoś faktu żywego i samorzutnego, bez niego bowiem owe elementy mogłyby pozostawać jeszcze w ciągu wielu stuleci w stanie twórczej bezsiły. W chrystianizmie takiego faktu nie zabrakło: były nim propaganda, męczeństwo i śmierć Jezusa Chrystusa.

Nic prawie nie wiemy o tej wielkiej i świętej osobistości; wszystko, co nam podają Ewangelie, zawiera tyle sprzeczności i tyle mitycznych elementów, że możemy w nich uchwycić zaledwie kilka rysów realnych i żywych. Pewne jest tylko to, że był on kaznodzieją ubogiego ludu, przyjacielem i pocieszycielem nędzarzy, ludzi ciemnych, niewolników i kobiet, i że był przez nich gorąco kochany. Obiecał wszystkim tym, którzy tutaj, na ziemi, cierpieli – a liczba ich jest olbrzymia – życie wieczne. Został, jak można się było spodziewać, ukrzyżowany przez przedstawicieli oficjalnej moralności i publicznego ładu owej epoki. W następstwie podbojów Rzymian, które zburzyły granice między narodami, jego uczniowie oraz uczniowie jego uczniów mogli się rozproszyć i rozpowszechnić ewangelię we wszystkich krajach znanych w starożytności. Byli przyjmowani wszędzie z otwartymi ramionami przez niewolników oraz kobiety, dwie klasy najbardziej uciemiężone, najbardziej cierpiące i oczywiście najbardziej ciemne w starożytnym świecie. Jeżeli zaś zdobyli garstkę prozelitów wśród uprzywilejowanego i oświeconego świata, zawdzięczali to po większej części tylko wpływowi kobiet. Najszerszą propagandę uprawiali niemal wyłącznie wśród ludu, równie nieszczęśliwego jak otępionego przez stan niewoli. Było to pierwsze przebudzenie, pierwszy zasadniczy bunt proletariatu.

Następnym krokiem w rozwoju wierzeń religijnych i niewątpliwie najtrudniejszym po tym, który ustanowił odrębny świat boski, było przejście od politeizmu do monoteizmu, od religijnego materializmu pogan do uduchowionej wiary chrześcijan. Przede wszystkim pogańscy bogowie byli bogami wyłącznie o narodowym charakterze, i to była ich zasadnicza cecha. Następnie byli oni tak liczni, że zachowali z konieczności w większej lub mniejszej mierze cechy materialne, a raczej dlatego właśnie, że posiadali cechy materialne, było ich tak wielu, różnorodność bowiem jest jednym z głównych atrybutów realnego świata. Bogowie pogańscy nie byli jeszcze właściwym zaprzeczeniem realnych rzeczy, byli tylko ich fantastycznym wyolbrzymieniem.

Ażeby mógł na ruinach ich tak licznych ołtarzy zostać ustawiony ołtarz jedynego najwyższego Boga, władcy świata, trzeba było przede wszystkim zniszczyć autonomiczny byt różnych narodów, z których składał się pogański, czyli starożytny świat. Otóż to właśnie uczynili z całą brutalnością Rzymianie: podbili oni większą część świata, którą znano wówczas, i stworzyli jak gdyby w pierwszym zarysie pojęcie ludzkości, niewątpliwie całkowicie negatywne i wulgarne.

Bóg, który w ten sposób wzniósł się ponad wszelkie – zarówno materialne jak społeczne – różnice narodowe wszystkich krajów, stając się poniekąd tych różnic bezpośrednim zaprzeczeniem, musiał być z konieczności istotą niematerialną i abstrakcyjną. Jednakże wiara w istnienie podobnej Istoty była tak trudna, iż nie mogła powstać od razu. Toteż – jak to wykazałem w Dodatku – w ciągu długiego czasu przygotowywała ją i rozwijała metafizyka grecka, która pierwsza wprowadziła filozoficzne pojęcie Idei boskiej, wiecznie twórczej i zawsze odtwarzanej przez widzialny świat. Ale Bóstwo poczęte i stworzone przez filozofię grecką było Bóstwem nieosobowym, żadna bowiem metafizyka, jeżeli jest konsekwentna i poważnie uprawiana, nie może się wznieść, a raczej zniżyć do idei Boga osobowego. Trzeba, więc było znaleźć Boga, który byłby jedyny i jednocześnie na wskroś osobowy. Takiego Boga znaleziono w niezmiernie brutalnej, egoistycznej, okrutnej osobie Jehowy, narodowego Boga Żydów. Ale Żydzi, choć przejęci duchem narodowej wyłączności, który i dziś jeszcze ich wyróżnia, stali się faktycznie, na długo przed narodzeniem Chrystusa, narodem najbardziej internacjonalnym na świecie. Na skutek zabrania części ich do niewoli, a przede wszystkim pod wpływem tej namiętności do handlu, która ich pobudzała i która stanowi jedną z głównych cech ich narodowego charakteru, rozproszyli się po wszystkich krajach, niosąc wszędzie kult swego Jehowy i okazując mu tym więcej wierności, im bardziej ich opuszczał.

Tyle, jeśli chodzi o dawność. Co się zaś tyczy powszechności jakiegoś błędu, to ona dowodzi tylko jednego: że natura ludzka jest podobna, jeżeli nie zupełnie identyczna we wszystkich czasach i we wszystkich klimatach. A skoro zostało stwierdzone, iż wszystkie ludy we wszystkich epokach swego życia wierzyły i jeszcze wierzą w Boga, to musimy stąd wyprowadzić prosty wniosek, że idea boska, zrodzona z nas samych, jest błędem historycznym, niezbędnym w rozwoju ludzkości, i musimy zadać sobie pytanie: dlaczego i w jaki sposób idea ta w dziejach powstała, dlaczego ogromna większość rodzaju ludzkiego uznaje ją dziś jeszcze za prawdę?

Dopóki nie potrafimy zdać sobie sprawy, w jaki sposób powstała i musiała nieuchronnie powstać w historycznym rozwoju świadomości ludzkiej idea świata nadprzyrodzonego czy boskiego, dopóty, choć będziemy naukowo przeświadczeni o niedorzeczności tej idei, nigdy nie uda nam się wykorzenić jej z myśli większości; nie potrafimy bowiem zaatakować jej w samej głębi istoty ludzkiej, gdzie się zrodziła, i skazani na jałową, beznadziejną i nie kończącą się walkę, będziemy zawsze musieli zadowolić się zwalczaniem jej tylko na powierzchni, w jej niezliczonych przejawach, które w swej niedorzeczności zaledwie zostaną obalone pod ciosami zdrowego rozsądku, wnet ożywają w nowej i równie bezsensownej formie. Dopóki wiara w Boga, korzeń wszystkich niedorzeczności, które nękają świat, pozostaje nienaruszony, nie omieszka on nigdy wypuścić świeżych pędów. Tak właśnie w naszych czasach, w pewnych najwyższych sferach społeczeństwa spirytyzm usiłuje usadowić się na ruinach chrześcijaństwa. Powinniśmy starać się zrozumieć, jaka jest historyczna geneza idei Boga, czym jest następstwo przyczyn, które wytworzyły i rozwinęły tę ideę w świadomości ludzkiej, powinniśmy to uczynić nie tylko ze względu na interes mas, ale ze względu na zdrowie własnego umysłu.

Na próżno będziemy w siebie wmawiać, że jesteśmy ateistami; dopóki nie zrozumiemy tych przyczyn, dopóty w mniejszym lub większym stopniu będą nami kierować głosy tej utartej opinii, której tajemnicy nie uchwyciliśmy. Ze względu zaś na przyrodzoną słabość jednostki, choćby nawet najbardziej odpornej na potężne wpływy otaczającego ją środowiska społecznego, jesteśmy zawsze narażeni na to, że wcześniej czy później, w taki czy inny sposób padniemy na nowo w otchłań niedorzeczności religijnej. Współczesne społeczeństwo daje nam częste przykłady takich haniebnych nawróceń.

Rozdział II

Mówiłem już, gdzie szukać zasadniczej praktycznej przyczyny potężnego jeszcze obecnie oddziaływania wierzeń religijnych na masy ludowe. Owe właściwe im mistyczne skłonności są nie tyle wyrazem ich aberracji umysłowej, ile głębokiego wewnętrznego niezadowolenia. Jest to instynktowny i namiętny protest istoty ludzkiej przeciw ciasnocie, płyciźnie, cierpieniu i hańbie nędznej egzystencji. Przeciwko tej chorobie jedno tylko – jak mówiłem – istnieje lekarstwo: rewolucja socjalna.

W Dodatku swym starałem się wyłożyć, jakie przyczyny warunkowały narodzenie i historyczny rozwój religijnych urojeń w świadomości ludzkiej. Obecnie pragnę rozpatrzyć zagadnienie istnienia Boga oraz boskiego pochodzenia świata i człowieka wyłącznie z punktu widzenia użyteczności społecznej i moralnej idei, natomiast o racjach teoretycznych tych wierzeń powiem zaledwie kilka słów po to tylko, by lepiej swą myśl wyjaśnić.

Wszystkie religie z ich bogami, z ich półbogami, z ich prorokami, z ich mesjaszami, z ich świętymi były stworzone przez łatwowierną wyobraźnię ludzi, którzy jeszcze nie osiągnęli pełnego rozwoju i nie opanowali w pełni swych władz umysłowych w konsekwencji. Niebo religii jest tylko mirażem, w którym człowiek, podniecony swym nieuctwem i wiarą, odnajduje swoje własne odbicie, powiększone i odwrócone, tj. ubóstwione. A więc historia religii, historia początku, wielkości i upadku bogów, którzy kolejno po sobie następowali w wierzeniach ludzkich, jest tylko rozwojem umysłowości i kolektywnej świadomości ludzkiej. W swym historycznym postępie, w miarę jak ludzie odkrywali bądź w sobie samych, bądź też w zewnętrznej przyrodzie jakąś siłę, jakąś zaletę lub nawet jakąś wielką wadę, dając się unieść fantazji religijnej – przypisywali je swoim bogom, uprzednio nadmiernie je wyolbrzymiając i potęgując – jak to zwykle czynią dzieci. Dzięki tej skromności i tej pobożnej wspaniałomyślności ludzi wierzących i łatwowiernych niebo zostało wzbogacone łupami ziemi, a w nieuchronnej konsekwencji, im niebo stawało się bogatsze, tym ludzkość i ziemia stawały się uboższe. Skoro bóstwo zostało wprowadzone, zostało ono oczywiście uznane za przyczynę, źródło, sędziego i absolutnego szafarza wszystkiego: świat stał się niczym,

W każdym rozwoju – czy to słusznym, czy fałszywym, realnym czy wyimaginowanym, zbiorowym czy indywidualnym – tylko pierwszy krok jest ciężki, pierwszy akt poznawczy jest najtrudniejszy. Z chwilą zrobienia tego pierwszego kroku, kiedy się pierwszy akt poznawczy już dokonał, reszta toczy się naturalnie, jako konieczne ich następstwo. W historycznym rozwoju tego strasznego obłędu religijnego, który w dalszym ciągu nas prześladuje i dławi, trudność polegała na ustanowieniu jakiegoś świata boskiego istniejącego na zewnątrz świata realnego. Ów pierwszy obłędny akt, tak naturalny z punktu widzenia fizjologicznego, a więc tak konieczny w historii ludzkości, nie spełnił się od razu. Nie wiem, ilu trzeba było stuleci, żeby wierzenia te rozwinęły się i przeniknęły do myślowych nawyków ludzkich. Lecz raz ustanowione, stały się wszechmocne, jak to bywa nieuchronnie z każdym obłędem, który opanowuje mózg ludzki. Weźcie obłąkanego: niezależnie od tego, co jest specjalnym przedmiotem jego obłędu, zobaczycie, że ponura i uporczywa myśl, która go opętała, wydaje mu się najbardziej naturalna w świecie, natomiast rzeczy naturalne i realne, lecz sprzeczne z tą myślą, wydadzą mu się śmieszne i obrzydliwe. Religia jest obłędem zbiorowym, tym silniejszym, że tradycyjnym, którego początki gubią się w niezmiernie odległej przeszłości. Jako obłęd zbiorowy przeniknęła ona we wszystkie szczegóły Społecznego – zarówno publicznego jak prywatnego – bytowania ludu, wcieliła się w społeczeństwo, stała się w nim, że tak powiem, zbiorową duszą i myślą. Każdy człowiek od urodzenia jest nią omotany, ssie ją z mlekiem matki, wchłania wraz z wszystkim, co słyszy, z wszystkim, co widzi. Był nią tak dobrze karmiony, truty, tak przeniknęła jego całą istotę, że później, choćby potężny był jego zdrowy rozsądek, musiał dokonać niesłychanego wysiłku, żeby się od niej uwolnić, i nigdy jeszcze w pełni tego nie osiągnął. Za dowód mogą służyć nasi współcześni idealiści, a także nasi doktrynerscy materialiści, komuniści niemieccy. Nie potrafili oni wyzbyć się religii Państwa.

Gdy świat nadprzyrodzony, świat boski został już mocno utrwalony w tradycyjnej wyobraźni ludów, rozwój różnorodnych systemów religijnych szedł dalej swym naturalnym i logicznym trybem, zawsze zresztą zgodnie z ówczesnym i realnym rozwojem ekonomicznych i politycznych stosunków, których w każdym czasie, w świecie fantazji religijnej, był wiernym odbiciem i boskim uświęceniem. W ten oto sposób zbiorowy i historyczny obłęd, który nosi miano religii, rozwijał się począwszy od fetyszyzmu, przechodząc następnie przez wszystkie szczeble politeizmu aż do monoteizmu chrześcijańskiego.

ducha bytującego oddzielnie poza ciałem jakiegoś zwierzęcia. Jeżeli jednak nikt go nie widział, to w jaki sposób ludzie mogli uwierzyć w jego istnienie? Albowiem wiara ta jest faktem notorycznym i jeżeli nie uniwersalnym – jak utrzymują idealiści – to przynajmniej niezmiernie rozpowszechnionym i jako taka zasługuje całkowicie na naszą pełną szacunku uwagę; wszelkie bowiem wierzenia ogółu, nawet najbardziej głupie, zawsze wywierają zbyt silny wpływ na losy ludzkie, aby można było sobie pozwolić je zignorować lub abstrahować od nich.

***

Fakt tego historycznego wierzenia daje się objaśnić zresztą w sposób naturalny i racjonalny. Przykład, jakiego dostarczają nam dzieci i młodzież, a nawet wiele ludzi, którzy już dawno przekroczyli wiek pełnoletności, jest dla nas dowodem, że człowiek może od dawna korzystać ze swych władz umysłowych, zanim zda sobie sprawę ze sposobu, w jaki z nich korzysta, zanim zdoła to sobie jasno i wyraźnie uświadomić. W tym okresie funkcjonowania nieświadomego siebie umysłu, tego działania naiwnej i wierzącej inteligencji, człowiek opętany przez świat zewnętrzny i pobudzany tą wewnętrzną podnietą, która nazywa się życiem, i wielorakimi potrzebami życia, stwarza mnóstwo wyobrażeń, pojęć i idei. Są one początkowo z konieczności bardzo niedoskonałe, źle dostosowane do realności rzeczy i faktów, które starają się wyrazić. Ponieważ jednak człowiek nie ma świadomości, jak działa jego własny umysł, ponieważ nie wie jeszcze, że to on sam stworzył i w dalszym ciągu tworzy owe wyobrażenia, owe pojęcia, owe idee, ponieważ nie znane mu jest ich całkiem subiektywne, ludzkie pochodzenie, przeto w sposób naturalny i konieczny traktuje je jako byty obiektywne, byty realne, zupełnie od niego niezależne, istniejące same przez się i same w sobie.

W ten oto sposób ludy pierwotne, dźwigając się powoli ze swej niewinności zwierzęcej, stworzyły swych bogów. A stworzywszy swych bogów, nie domyślając się, że same są ich jedynymi stwórcami, zaczęły je ubóstwiać. Uważając je za istoty realne i nieskończenie wyższe od nich samych, obdarzyły je wszechmocą, siebie zaś uznały za twory boskie, za boskich niewolników. W miarę dalszego rozwoju idei ludzkich bogowie, którzy – jak już zaznaczyłem – byli zawsze tylko fantastycznym, idealnym, poetyckim odbiciem czy też odwróconym wizerunkiem człowieka, ulegali również idealizowaniu. Początkowo wulgarne fetysze, później z wolna przeistaczali się w czyste duchy istniejące poza światem widzialnym i wreszcie, w wyniku długiego historycznego rozwoju, stopili się w jedyną Istotę boską, Ducha czystego, wiecznego, absolutnego, stwórcę i władcę światów.

bóstwo było wszystkim; a człowiek, istotny jego twórca, sam nieświadomie wyprowadziwszy je z niebytu, uklęknął przed nim, ubóstwił je i ogłosił, że sam jest jego tworem i niewolnikiem.

Chrześcijaństwo jest właśnie religią par excellence, ponieważ występuje w niej i przejawia się w całej pełni natura, prawdziwa istota wszelkich systemów religijnych, którymi są: zubożenie, ujarzmienie i unicestwienie ludzkości na korzyść boskości.

Skoro Bóg jest wszystkim, świat realny i człowiek są niczym. Skoro Bóg jest prawdą, sprawiedliwością, dobrem, pięknem, mocą i życiem, człowiek jest kłamstwem, niesprawiedliwością, złem, brzydotą, niemocą i śmiercią. Skoro Bóg jest panem, człowiek jest niewolnikiem. Niezdolny sam przez się do tego, by znaleźć sprawiedliwość, prawdę, żywot wieczny, może osiągnąć je tylko przy pomocy boskiego objawienia. Lecz kto mówi o objawieniu, ten mówi o tych, którzy objawiają, o mesjaszach, o prorokach, o kapłanach i o prawodawcach natchnionych przez samego Boga; skoro zaś raz zostali oni uznani za przedstawicieli boskości na ziemi, za świętych wychowawców ludzkości wybranych przez samego Boga, by skierować ją na drogę zbawienia – muszą z konieczności sprawować władzę absolutną. Wszyscy ludzie winni okazywać im nieograniczone i bierne posłuszeństwo; albowiem wobec rozumu boskiego rozum ludzki, a wobec sprawiedliwości boskiej sprawiedliwość ziemska nie mogą się ostać. Ludzie, niewolnicy Boga, powinni też być niewolnikami Kościoła i Państwa, o ile Państwo jest uświęcone przez Kościół. Te prawa chrześcijaństwo spośród wszystkich religii, które istnieją i które przedtem istniały, zrozumiało najlepiej, lepiej nawet niż starożytne religie Wschodu, które zresztą obejmowały tylko wyróżnione i uprzywilejowane ludy, gdy tymczasem chrześcijaństwo zabiega o to, by ogarnąć całą ludzkość; spośród wszystkich religii chrześcijańskich jedynie rzymski katolicyzm tę prawdę głosi i realizuje z surową konsekwencją. Oto, dlaczego chrześcijaństwo jest religią absolutną, religią ostateczną; i oto, dlaczego Kościół apostolski i rzymski jest jedynym konsekwentnym, prawowitym i boskim Kościołem.

Niechaj, więc nie wezmą mi tego za złe metafizycy i religijni idealiści, filozofowie, politycy czy poeci: Idea Boga implikuje wyrzeczenie się rozumu i sprawiedliwości ludzkiej, jest najbardziej stanowczą negacją wolności ludzkiej i w sposób nieunikniony doprowadza ludzi do niewolnictwa, zarówno w teorii jak w praktyce.

Jeśli więc nie chcemy niewolnictwa i poniżenia ludzi, jak tego pragną jezuici, jak tego pragną moniści, pietyści i metodyści protestanccy, to nie możemy i nie powinniśmy czynić najdrobniejszych nawet ustępstw ani w sto-

sunku do Boga teologii, ani w stosunku do Boga metafizyki. Albowiem w tym alfabecie mistycznym tak się dzieje, że kto wymawia „A”, będzie musiał nieuchronnie wymówić także „Z”, a kto pragnie wielbić Boga, ten musi, nie łudząc się jak dziecko, wyrzec się odważnie swej wolności i swego człowieczeństwa.

Jeżeli Bóg istnieje, człowiek jest niewolnikiem; a że człowiek może i powinien być wolny – przeto Bóg nie istnieje.

Założę się, że nikt nie wyjdzie z tego błędnego koła. A teraz proszę wybierać.

***

Czy trzeba przypominać, w jakim stopniu i w jaki sposób religie ogłupiają i demoralizują ludy? One zabijają w nich rozum, główne narzędzie emancypacji ludzkiej, i wtrącają je w umysłowe niedołęstwo, główny warunek ich niewolnictwa. Hańbią pracę ludzką i czynią z niej znamię i źródło służebności. Zabijają pojęcie i poczucie sprawiedliwości w ludziach, sprawiając, że szala przeważa zawsze na korzyść tryumfujących łotrów, uprzywilejowanych przez łaskę bożą. Zabijają dumę i godność ludzką, popierając jedynie tych, co się płaszczą i są uniżeni. Tłumią w sercach ludu wszelkie ludzkie uczucie i przepełniają je okrucieństwem boskim.

Wszystkie religie są okrutne, wszystkie mają fundamenty we krwi; opierają się bowiem głównie na idei ofiary, czyli prowadzą do nieustannej rzezi Ludzkości, poddanej nienasyconej zemście Boskości. W tym krwawym misterium zawsze ofiarą jest człowiek, kapłan zaś, który jest też człowiekiem, ale człowiekiem uprzywilejowanym, przez łaskę – bożym katem. Teraz rozumiemy, dlaczego duchowni wszystkich religii, ci najlepsi, najbardziej humanitarni, najdelikatniejsi, mają niemal zawsze w głębi serca – a jeśli nie w sercu, to w wyobraźni, w myśli (a wiadomo, jak olbrzymi wpływ myśl i wyobraźnia wywierają na serce ludzkie) – dlaczego – powiadam – w uczuciach swych każdy z nich kryje coś okrutnego i krwiożerczego.

Nasi znakomici idealiści współcześni wiedzą o tym wszystkim lepiej niż ktokolwiek inny. Są to ludzie uczeni, którzy swoją historię umieją na pamięć; ponieważ zaś są to jednocześnie żywi ludzie, wielkie dusze przejęte szczerym i głębokim umiłowaniem dobra ludzkości, przeto przeklęli i napiętnowali wszystkie te karygodne czyny, wszystkie te zbrodnie religii z niezrównaną elokwencją. Pełni oburzenia, nie chcą solidaryzować się z Bogiem religii pozytywnych ani z ich dawnymi i współczesnymi przedstawicielami na ziemi.

Bóg, którego wielbią lub zdaje im się, że wielbią, różni się wyraźnie od bogów znanych w historii tym, że nie jest to bynajmniej Bóg pozytywny, w

kiego; jednakże tylko w człowieku osiąga tę moc abstrahowania, która stanowi właściwie myśl.

Na podstawie powszechnego doświadczenia[2], które ostatecznie jest jedynym początkiem, źródłem wszystkich naszych wiadomości, zostaje udowodnione, primo, że wszelka inteligencja jest związana z jakimś zwierzęcym ciałem, i secundo, że intensywność, siła tej zwierzęcej funkcji zależy od względnej doskonałości organizmu zwierzęcego. Ten drugi wniosek wypływający z powszechnego doświadczenia dotyczy nie tylko różnych gatunków zwierzęcych; potwierdza się on również w stosunku do ludzi, których intelektualna i moralna siła zależy w sposób tak widoczny od większej lub mniejszej doskonałości ich organizmu jako rasy, jako narodu, jako klasy i jako indywiduów, że nie warto tej sprawy bliżej omawiać[3].

Z drugiej strony jest rzeczą pewną, że żaden człowiek nigdy nie widział i nie mógł widzieć czystego ducha wyzbytego wszelkiej formy materialnej,

[2] Należy odróżniać powszechne doświadczenie, na którym ugruntowuje się cała nauka, od uniwersalnej wiary, na której idealiści pragną oprzeć swe wierzenia; doświadczenie jest realnym stwierdzeniem realnych faktów; wiara jest tylko domniemaniem, iż istnieją fakty, których nikt nie widział, a więc fakty będące w sprzeczności z powszechnym doświadczeniem.

[3] Różnice zachodzące między inteligencją ras, narodów oraz jednostek powinny sprawiać wielki kłopot idealistom i wszystkim tym, którzy wierzą w niematerialność i nieśmiertelność duszy ludzkiej. Jakże mogą oni objaśnić te różnice, o ile nie założą, że cząstki boskie zostały nierówno podzielone? Na nieszczęście istnieje zbyt wielka liczba ludzi tępych, głupich aż do idiotyzmu. Czyżby przypadła im w udziale cząstka boska i jednocześnie głupia? Aby wydostać się z kłopotów, idealiści są zmuszeni zakładać, że wszystkie dusze ludzkie są równe, lecz że więzienia, w których są zamknięte – ciała ludzkie – równie nie są, że jedne lepiej niż inne służą za organ czystej intelektualności duszy. W ten sposób jedna z dusz rozporządza niezmiernie subtelnym organem, druga zaś organem bardzo nieudolnym. Jednakże tego rodzaju rozróżnieniem idealizm nie ma prawa i nie może się posługiwać, grozi mu bowiem, że wpadnie sam w niekonsekwencję i w najbardziej ordynarny materializm. Gdy się bowiem zakłada absolutną niematerialność duszy, znikają wszelkie różnice cielesne; wszystko, co cielesne, materialne, ukazuje się z konieczności jako jednakowo, równie, absolutnie wulgarne. Przepaść, która oddziela duszę od ciała, absolutną niematerialność od absolutnej materialności, jest bezdenna; wszystkie więc różnice, zresztą niewytłumaczalne i logicznie niemożliwe, które mogłyby istnieć po drugiej stronie przepaści, w materii, muszą być dla duszy czymś niebyłym i nieważnym, nie mogą i nie powinny wywierać na nią żadnego wpływu. Słowem, to, co absolutnie niematerialne, nie może zostać zawarte, uwięzione, a tym bardziej w jakiejkolwiek mierze wyrażone przez to, co absolutnie materialne. Spośród wszystkich wyobrażeń wulgarnych i materialistycznych, w sensie przypisywanym tym wyrazom przez idealistów, to jest brutalnych, zrodzonych przez ignorancję i prymitywną głupotę ludzką, wyobrażenie, że niematerialna dusza jest uwięziona w materialnym ciele, jest bez wątpienia najbardziej wulgarnym i najbardziej ciemnym. I nic nie dowodzi lepiej, z jaką mocą oddziałują dawne przesądy na najtęższe nawet umysły, niż ten rzeczywiście politowania godny fakt, iż ludzie obdarzeni wysoką inteligencją mogą dziś jeszcze o tym mówić.

udzielając proletariatowi wiadomości, których mu jeszcze brak, sprawią, że rządy uczonych staną się całkiem zbyteczne.

Jeżeli lud winien się strzec rządów ludzi uczonych, to tym bardziej powinien się zabezpieczyć przed rządami natchnionych idealistów. Im bardziej szczerzy są ci prawowierni i ci niebiańscy poeci, tym stają się nie-bezpieczniejsi. Abstrakcja naukowa – powiedziałem – jest abstrakcją racjonalną, prawdziwą w istocie swojej, konieczną dla życia, którego jest teoretycznym wyrazem, którego jest świadomością.

Życie może i powinno ją przyswajać i przetrawiać. Natomiast abstrakcja idealistyczna, Bóg, jest żrącą trucizną, która niszczy życie i wprowadza do niego rozkład, wypacza i zabija. Pycha idealistów nie jest bynajmniej pychą osobistą, lecz boską, a więc niepokonaną i nieubłaganą. Ona może i musi umrzeć, ale nie ustąpi nigdy i do ostatniego tchnienia będzie usiłowała ujarzmiać świat i rzucić go pod stopy swego Boga, podobnie jak pruscy porucznicy, ci praktyczni idealiści niemieccy, chcieli ujrzeć świat zmiażdżony ostrogami ich króla. Jest to ta sama wiara – nawet przedmioty jej niewiele się różnią od siebie – i ten sam rezultat wiary – niewolnictwo.

Jednocześnie jest to zwycięstwo najbrudniejszego i najbardziej brutalnego materializmu. Jeżeli chodzi o Niemcy, to nie wymaga nawet dowodów, albowiem trzeba być doprawdy ślepym, żeby nie widzieć tego dzisiaj. Sądzę jednak, że w stosunku do idealizmu boskiego dowód tej tezy jest jeszcze potrzebny.

Człowiek, jak i reszta świata, jest istotą całkowicie materialną. Umysł, zdolność myślenia, odbierania i przemyślania różnorodnych wrażeń, zarówno zewnętrznych, jak wewnętrznych, zdolność wspominania ich, gdy minęły, i odtwarzania w wyobraźni, porównywania ich i odróżniania, abstrahowania z nich wspólnych określeń i tworzenia przez to samo ogólnych czy abstrakcyjnych pojęć i wreszcie zdolność formowania idei przez grupowanie i kombinowanie pojęć na różne sposoby – słowem, umysł, jedyny twórca całego naszego idealnego świata, jest własnością zwierzęcego ciała, a mianowicie całkowicie materialni organizacji mózgu.

Wiemy o tym z całą pewnością dzięki powszechnemu doświadczeniu, któremu żaden fakt nie zadał nigdy kłamu i które każdy człowiek może sprawdzić w każdej chwili swego życia. U wszystkich organizmów zwierzęcych, nie wyłączając najniższych gatunków, znajdujemy pewien stopień inteligencji i widzimy, że w szeregu gatunków inteligencja zwierzęca rozwija się tym więcej, im bardziej organizmy danego gatunku zbliżają się do organizmu ludz-

jakikolwiek sposób określony czy to przez teologię, czy metafizykę. To nie jest ani Istota Najwyższa Robespierre'a i J. J. Rousseau, ani panteistyczny Bóg Spinozy, ani nawet immanentny i transcendentny zarazem, pełen dwuznaczności Bóg Hegla. Oni się strzegą przed nadaniem mu jakiegoś pozytywnego określenia, czując doskonale, że każde określenie pozwoliłoby go poddać rozkładającemu działaniu krytyki. Nie wypowiadają się w sprawach, czy jest on Bogiem osobowym, czy nieosobowym, czy stworzył świat, czy świata nie stworzył; nie wspominają o jego boskiej opatrzności. Wszystko to bowiem mogłoby go skompromitować. Im wystarcza powiedzenie: „Bóg" i nic poza tym. Ale czymże jest w takim razie ich Bóg? Nie jest nawet ideą – jest aspiracją.

Jest to ogólna nazwa wszystkiego, co w ich oczach jest wielkie, dobre, piękne, szlachetne, ludzkie. Ale dlaczegóż nie mówią wtedy: „Człowiek"? Ach, dlatego, że Wilhelm, król pruski, że Napoleon III i wszyscy im podobni są także ludźmi; oto co im sprawia wielki kłopot. Prawdziwe człowieczeństwo jest mieszaniną wszystkiego tego, co najbardziej wzniosłe, co najpiękniejsze, a zarazem wszystkiego, co najniższe, co najpotworniejsze w świecie. Jak z tego wybrnąć? A więc jedno nazywają boskim, drugie zwierzęcym, wyobrażając sobie boskość i zwierzęcość jako dwa bieguny, pomiędzy którymi umieszczają człowieczeństwo. Nie chcą albo nie mogą zrozumieć, że te trzy terminy tworzą tylko jeden i że jeżeli się je rozdziela, to się wszystkie trzy znosi.

Idealiści nie są mocni, gdy chodzi o logikę, można nawet powiedzieć, że nią gardzą. To ich odróżnia od metafizyków panteistycznych i deistycznych i to nadaje ich ideom charakter właściwy idealizmowi praktycznemu, czerpiącemu swe inspiracje o wiele mniej z surowego rozwoju myśli niż z doświadczeń życiowych, powiedziałbym niemal: ze wzruszeń, zarówno historycznych i zbiorowych, jak indywidualnych. To nadaje ich propagandzie pozór bogactwa i siły żywotnej, ale tylko pozór, ponieważ samo życie staje się jałowe, gdy jest sparaliżowane w swej logicznej sprzeczności.

Sprzeczność ta polega na tym: oni pragną Boga i pragną człowieczeństwa. Upierają się przy tym, aby wiązać z sobą dwa terminy, które – raz rozdzielone – nie mogą się już złączyć, by się wzajemnie nie zniweczyć. Mówią jednym tchem: „Bóg i wolność człowieka", „Bóg i godność, i sprawiedliwość, i równość, braterstwo i pomyślność człowieka" – nie troszcząc się o tę nieubłaganą logikę, zgodnie z którą, jeżeli Bóg istnieje, cała reszta jest skazana na zagładę. Albowiem, jeżeli Bóg istnieje, to z konieczności jest Panem odwiecznym, najwyższym, absolutnym, a jeżeli ten Pan istnieje, człowiek jest niewolnikiem; jeżeli zaś człowiek jest niewolnikiem, to nie ma dla niego ani

sprawiedliwości, ani równości, ani braterstwa, ani pomyślności. Na próżno będą się starać, wbrew zdrowemu rozsądkowi i wszystkim doświadczeniom historycznym, przedstawić swego Boga jako istotę ożywioną największym umiłowaniem wolności ludzkiej: pan, choćby nie wiadomo co robił i choćby bardzo pragnął wydać się liberałem – zawsze pozostaje panem, i z jego istnienia nieuchronnie wynika niewolnictwo wszystkich, którzy stoją niżej od niego. Ale więc jeżeliby Bóg istniał, mógłby przysłużyć się wolności ludzkiej tylko w jeden sposób: przestać istnieć.

Miłując i troszcząc się o wolność ludzką, uważając ją przy tym za bezwzględny warunek wszystkiego, co wielbimy i szanujemy w ludzkości, odwracam aforyzm Voltaire'a i mówię: jeżeliby Bóg rzeczywiście istniał, należałoby sprawić, aby przestał istnieć.

***

Surowa logika dyktująca mi te słowa jest zbyt oczywista, abym musiał szerzej rozwijać tę argumentację. Wydaje mi się rzeczą niemożliwą, aby znakomici mężowie, których nazwiska przytoczyłem, tak sławni i tak słusznie szanowani, sami nie zwrócili uwagi, zupełnie nie dostrzegali tej sprzeczności, w którą wpadają, mówiąc jednocześnie o Bogu i o wolności ludzkiej. Ażeby przejść ponad tym, musieli, więc chyba pomyśleć, że ta niekonsekwencja czy nadużycie logiczne były w praktyce konieczne dla samego dobra ludzkości.

Może być zresztą, że mówiąc o wolności jako o czymś dla nich godnym szacunku i drogim, rozumieją ją zgoła inaczej, niż my ją rozumiemy, my, materialiści i socjaliści-rewolucjoniści. W istocie mówiąc o wolności zawsze dodają natychmiast inny wyraz, władza, wyraz i rzecz, których my nienawidzimy z głębi serca.

Czymże jest władza? Czyżby była tą nieuniknioną potęgą praw naturalnych, których przejaw widzimy w powiązaniu i koniecznym następstwie zjawisk, zarówno w świecie fizycznym, jak społecznym? Istotnie, przeciwko tym prawom bunt jest nie tylko niedozwolony, jest on po prostu niemożliwy. Możemy nie doceniać znaczenia praw naturalnych lub też jeszcze ich nie znać, lecz nie możemy nie być im posłuszni, ponieważ są one podstawowym warunkiem naszego istnienia; one nas otaczają, przenikają, kierują wszystkimi naszymi ruchami, naszymi myślami i naszymi działaniami i nawet wówczas, kiedy myślimy, że nie jesteśmy im posłuszni, czyny nasze są tylko manifestacją ich wszechpotęgi.

Tak jest, jesteśmy bezwzględnie niewolnikami tych praw. Lecz w tym niewolnictwie nie ma nic upokarzającego, a raczej nie jest to niewolnictwo. Albowiem nie ma niewolnictwa bez jakiegoś pana, prawodawcy, znajdującego

uprzywilejowanych pasterzy, aby mogły odtąd ująć w swoje własne ręce[1] swoje dziejowe przeznaczenie.

Czy jednak zanim masy osiągną ten stopień oświaty, powinny pozwolić rządzić ludziom nauki? Broń Boże! Lepiej niech się obejdą w ogóle bez nauki, lecz niech nie dopuszczą, by uczeni mieli nimi rządzić. Pierwszą konsekwencją rządów uczonych byłoby to, że nauka stałaby się dla ludu niedostępna. Byłyby to niezawodnie rządy arystokratyczne, albowiem obecna instytucja nauki jest instytucją arystokratyczną. Arystokracja umysłowa! Z punktu widzenia praktycznego najbardziej nieubłagana, a z punktu widzenia społecznego najbardziej arogancka i najbardziej upokarzająca: taki charakter miałaby władza ukonstytuowana w imię nauki. Taki reżym mógłby sparaliżować życie i ruch w społeczeństwie. Zawsze chełpliwi, zawsze zarozumiali i zawsze bezsilni, chcieliby uczeni wtrącać się do wszystkiego, i wszystkie źródła życia wyschłyby pod ich abstrakcyjnym i uczonym tchnieniem.

Powtarzam raz jeszcze, że życie stwarza naukę, a nie nauka życie i tylko samorzutna działalność samego ludu może stworzyć wolność ludu. Byłoby to niewątpliwie wielkie szczęście, gdyby odtąd nauka mogła oświetlać drogę, po której lud samorzutnie dąży ku wyzwoleniu. Lepszy jest jednak raczej brak światła niż fałszywe światło z zewnątrz skąpo zapalone, by oczywiście sprowadzić lud z właściwej jego drogi. Zresztą lud nie będzie zupełnie pozbawiony światła. Nie darmo przebył on długą w dziejach drogę i zapłacił za swe błędy wiekami strasznych cierpień. Praktycznie, wnioski wysnute z tych bolesnych doświadczeń utworzyły pewnego rodzaju tradycjonalną naukę, która pod pewnymi względami warta jest tyleż co nauka teoretyczna. Wreszcie pewna część kształcącej się młodzieży, a więc ci spośród kształcącej się burżuazji, którzy czują w sobie dość nienawiści do kłamstwa, do hipokryzji, do niesprawiedliwości i podłości burżuazji, aby znaleźć w sobie odwagę i zerwać z nią, i dość pasji, by poświęcić się bez reszty słusznej i ludzkiej sprawie proletariatu – ci będą, jak już powiedziałem, braterskimi instruktorami ludu; ci

[1] Nauka, stając się własnością powszechną, wejdzie niejako w ścisły związek z bezpośrednim i realnym życiem poszczególnych jednostek. Zyska ona na pożyteczności ł przychylności to, co straci na pysze, na ambicji i na doktrynerskim pedantyzmie. To jednak niewątpliwie nie przeszkodzi, by ludzie genialni, bardziej nadający się do dociekań naukowych niż większość im współczesnych, z większym oddaniem niż inni poświęcili się uprawianiu nauki. Oddadzą oni wielką przysługę ludzkości, nie zabiegając jednak o inne społeczne wpływy poza owym naturalnym wpływem, jaki wyższa inteligencja wywiera zawsze w swoim środowisku; nie będą też zabiegać o inne nagrody poza wzniosłą przyjemnością, jakiej doznaje elitarny umysł czyniąc zadość swej szlachetnej namiętności.

oddane całkowicie swemu samorzutnemu działaniu. Jak rozwiązać tę antynomię?

Wiemy, że nauka jest niezbędna przy racjonalnym organizowaniu społeczeństwa; jednocześnie z drugiej strony wiemy, że jako niezdolna do interesowania się tym, co jest realne i żywe, nauka nie powinna się mieszać do spraw realnej czy praktycznej organizacji społeczeństwa.

Sprzeczność ta może być rozstrzygnięta tylko w jeden sposób: należy wpierw zlikwidować naukę jako byt moralny istniejący poza społecznym życiem ogółu i reprezentowany, jako taki, przez ciało patentowanych uczonych i następnie rozpowszechnić ją wśród mas ludowych. Odtąd powołana, by reprezentować kolektywną świadomość społeczeństwa, nauka powinna stać się rzeczywiście własnością powszechną. Tak więc nie tracąc nic ze swego uniwersalnego charakteru – od którego nigdy nie będzie się mogła uwolnić, bo przestałaby być wówczas nauką – zajmując się wciąż wyłącznie ogólnymi przyczynami, ogólnymi warunkami oraz ogólnymi stosunkami indywiduów i rzeczy, stopi się faktycznie z bezpośrednim, realnym życiem wszystkich jednostek ludzkich. Ruch ten będzie analogiczny do tego ruchu, pod którego wpływem protestanci w początkach Reformacji mówili, iż nie potrzeba już księży, ponieważ odtąd każdy człowiek będzie swoim własnym księdzem i każdy człowiek dzięki niewidzialnej, bezpośredniej interwencji Pana Naszego Jezusa Chrystusa otrzyma wreszcie możność odczuwania swego Pana Boga. Ale tutaj rzecz nie tyczy się ani Pana Naszego Jezusa Chrystusa, ani Pana Boga, ani wolności politycznej, ani jurysdykcji, żadnych rzeczy objawionych bądź teologicznie, bądź metafizycznie i zawsze jednakowo – jak wiadomo – niestrawnych. Świat naukowych abstrakcji nie jest bynajmniej objawiony, tkwi on w realnym świecie, którego jest wyrazem i wyobrażeniem ogólnym czy abstrakcyjnym. Gdy tylko ten idealny świat tworzy oddzielną strefę, którą reprezentuje specjalne ciało uczonych, zaczyna grozić nam, że zajmie w stosunku do realnego świata miejsce Pana Boga i zarezerwuje dla swych patentowanych przedstawicieli urząd księży. Oto, dlaczego poprzez oświatę powszechną, dla wszystkich jednakową, trzeba rozwiązać odrębną organizację społeczną nauki; trzeba, aby masy przestały być stadem prowadzonym i strzyżonym przez swych

się na zewnątrz w stosunku do tego, komu rozkazuje; a przecież prawa natury nie są zewnętrzne względem nas: one są nieodłączne od nas, stanowią naszą istotę, całą naszą istotę, zarówno cielesną jak intelektualną i moralną; my tylko dzięki nim żyjemy, oddychamy, działamy, myślimy, pragniemy. Poza nimi jesteśmy niczym, nie jesteśmy. Skąd więc brałaby się w nas moc i chęć buntu przeciwko nim?

Wobec praw naturalnych człowiek posiada tylko jedną wolność: uznać je i coraz lepiej stosować do celów, do emancypacji i humanizacji zarówno kolektywnej, jak indywidualnej. Skoro prawa te raz już zostały uznane, przejawiają władzę, której masy ludzkie nigdy nie poddają dyskusji. Trzeba być szalonym albo teologiem, albo przynajmniej metafizykiem, prawnikiem lub ekonomistą burżuazyjnym, żeby na przykład podnosić bunt przeciwko prawu, według którego 2×2 = 4. Trzeba posiadać wiarę, aby wyobrażać sobie, że człowiek nie spali się w ogniu i nie utonie w wodzie, jeśli nie ucieknie się do jakiejkolwiek sztuczki, która z kolei opiera się także na jakimś innym prawie naturalnym. Ale te bunty czy raczej dążenia, szaleńcze urojenia o buncie, który jest niemożliwy, są rzadkim wyjątkiem; rzec można, że na ogół masy ludzkie w swym codziennym życiu poddają się niemal całkowicie władzy zdrowego rozsądku, to znaczy sumie ogólnie uznanych praw naturalnych.

Wielkie to nieszczęście, że wiele praw naturalnych, które już potwierdziła nauka, jest nie znanych masom ludowym, a to wskutek troskliwej kurateli rządów, które – jak wiadomo – istnieją tylko dla dobra ludów. Mamy jeszcze i inne braki: oto mianowicie większa część praw naturalnych rządzących rozwojem społeczeństwa ludzkiego, praw równie potrzebnych, niezmiennych, koniecznych, jak prawa rządzące światem fizycznym, nie została potwierdzona i uznana należycie przez samą nawet naukę.

W momencie gdy prawa te najpierw zostaną uznane przez naukę, a następnie przejdą, przy pomocy rozległego systemu wychowania i nauczania powszechnego, do świadomości ogółu, wówczas zagadnienie wolności będzie zupełnie rozstrzygnięte. Najbardziej oporne władze będą musiały przyznać, że organizacja, kierownictwo, prawodawstwo polityczne są zbędne, że te trzy rzeczy, bez względu na to, czy pochodzą z woli władzy, czy też są rezultatem uchwał parlamentu wybranego na zasadzie głosowania powszechnego, nawet gdyby były zgodne z systemem praw naturalnych – co nigdy nie zachodzi i nigdy zajść nie może – że te trzy rzeczy są zawsze jednakowo zgubne i sprzeczne z wolnością mas, ponieważ narzucają im system praw, który pochodzi z zewnątrz i przez to samo jest despotyczny.

Wolność człowieka polega na tym tylko, że jest on posłuszny prawom naturalnym, ponieważ sam je uznał za takie, nie zaś dlatego, że narzuciła mu je z zewnątrz czyjaś obca wola, boska czy ludzka, zbiorowa czy indywidualna.

Wyobraźcie sobie uczoną akademię, w której zasiadają najznakomitsi przedstawiciele nauki; wyobraźcie sobie, że tej akademii powierzono ustanowienie praw i organizację społeczeństwa i że ci uczeni, których pobudza jedynie najczystsze umiłowanie prawdy, dyktują prawa absolutnie zgodne z najnowszymi odkryciami nauki. Twierdzę, że nawet w tym wypadku to prawodawstwo i ta organizacja okażą się potworne, i to z dwóch powodów. Powód pierwszy: nauka ludzka jest zawsze z konieczności niedoskonała i jeżeli porównać to, co już odkryła, z tym, co pozostało do odkrycia, to można powiedzieć, że jest jeszcze ciągle w powijakach. I to do tego stopnia, że jeżeli chciałoby się zmusić człowieka, aby w swym praktycznym życiu, zarówno zbiorowym jak indywidualnym, stosował się ściśle i wyłącznie do ostatnich danych nauki, skazałoby się go – tak samo społeczeństwo, jak poszczególne jednostki – na męki łoża prokrustowego, wśród których zginąłby, rozbity, zduszony, życie bowiem jest zawsze nieskończenie bardziej rozległe niż nauka.

Powód drugi: społeczeństwo, które by słuchało praw wydanych przez pewną akademię naukową nie dlatego, iż samo zrozumiało ich racjonalny charakter – a w takim przypadku istnienie akademii byłoby zbędne – lecz dlatego, że prawa te wydane przez akademię zostały mu narzucone w imię nauki, którą dane społeczeństwo szanuje, choć jej nie rozumie – takie społeczeństwo byłoby społeczeństwem nie ludzi, lecz bydląt. Byłoby to jakby drugie wydanie owej biednej republiki paragwajskiej, która tak długo pozwoliła Towarzystwu Jezusowemu rządzić sobą. Tego rodzaju społeczeństwo stoczyłoby się niechybnie bardzo szybko na najniższy poziom idiotyzmu.

Istnieje jeszcze trzeci powód, który uniemożliwia istnienie takiego kierownictwa. Mianowicie, jeśliby akademia naukowa rozporządzała taką najwyższą – że tak powiem – absolutną władzą i gdyby nawet składała się z najznakomitszych ludzi, musiałaby niezawodnie, i to w krótkim czasie, sama się zdeprawować, zarówno pod względem moralnym jak intelektualnym. Jest to charakterystyczne już dzisiaj dla historii wszystkich akademii, mimo że pozostawiono im tak niewiele przywilejów. Największy geniusz naukowy, z chwilą kiedy zostaje akademikiem, uczonym oficjalnym, patentowanym, nieuchronnie degeneruje się i zapada w drzemkę. Zatraca swą samorzutność, swój rewolucyjny rozmach i tę nieokiełznaną i dziką energię, którą odznacza

Na przykład prawdziwa nauka historii jeszcze nie istnieje. Dopiero dziś zaczyna się jak przez mgłę dostrzegać kolosalnie skomplikowane uwarunkowania tej nauki. Załóżmy jednak, że została ona wreszcie ujęta w konkretne formy, cóż mogłaby nam dać? Odtworzy ona wyrozumowany i wierny obraz ogólnych warunków naturalnego rozwoju społeczeństw, które miały swoją historię, warunków zarówno materialnych, jak duchowych, zarówno ekonomicznych, jak politycznych i społecznych, religijnych, filozoficznych, estetycznych i naukowych. Ale ten uniwersalny obraz cywilizacji ludzkiej, nawet najbardziej szczegółowy, będzie zawierał zawsze tylko oceny ogólne, a więc abstrakcyjne w tym sensie, że miliardy jednostek ludzkich, które stanowią żywą i cierpiącą materią tej historii, jednocześnie tryumfującej i ponurej – tryumfującej, gdy weźmiemy pod uwagę ogólne rezultaty, ponurej, gdy uwzględnimy olbrzymie hekatomby ofiar ludzkich, „zmiażdżonych pod jej rydwanem" – że te miliardy nieznanych indywiduów, bez których jednak nie zostałby osiągnięty żaden z tych wielkich abstrakcyjnych rezultatów historii i które – weźcie to pod uwagę – nigdy nie korzystały z tychże rezultatów, że te indywidua nigdy nie zajmą żadnego, choćby najskromniejszego miejsca w historii. One żyły składane w ofierze, druzgotane dla dobra abstrakcyjnej ludzkości – oto i wszystko.

Czy z tego powodu należy czynić zarzuty nauce historii? Byłoby to śmieszne i niesprawiedliwe. Myśl, refleksja, nawet mowa ludzka, która jest zdolna wyrażać tylko abstrakcje, indywiduów ująć nie mogą; są one nieuchwytne zarówno w teraźniejszości, jak w przeszłości. A więc nawet nauki społeczne, nauki przyszłości, będą w dalszym ciągu zmuszone je pomijać. Jedyną rzeczą, jakiej mamy prawo domagać się od nauki, jest to, aby pewnie i dokładnie ukazywała nam ogólne przyczyny indywidualnych cierpień; a wśród tych przyczyn nie zapomni niewątpliwie wymienić i owych ofiar podporządkowania żywych indywiduów abstrakcjom ogólnym, co się do dziś jeszcze, niestety, zwykle praktykuje; mamy prawo żądać, aby jednocześnie ukazała nam, jakie ogólne warunki są niezbędne, by mogło się zrealizować wyzwolenie indywiduów żyjących w społeczeństwie. Oto jej posłannictwo, oto także jej granice, poza którymi działanie nauk społecznych byłoby tylko bezsilne i szkodliwe. Albowiem poza tymi granicami zaczynają się roszczenia doktrynerskie oraz roszczenia do władzy ich patentowanych przedstawicieli, ich kapłanów. Czas już wielki skończyć ze wszystkimi papieżami i kapłanami; my ich już nie chcemy, choćby się nawet nazywali socjaldemokratami.

Raz jeszcze powtarzam: jedynym posłannictwem nauki jest oświecać drogę. Ale tworzyć może jedynie życie, życie wyzwolone z pęt rządów i doktryn,

Jest rzeczą zrozumiałą, że teologowie, politycy i prawnicy uważają, iż wszystko dzieje się dobrze. Jako kapłani tych abstrakcji, żyją tylko z tych nieustannych ofiar mas ludowych. Nie powinno też dziwić nikogo, że także metafizyka udziela temu stanowi rzeczy swej zgody. Jej bowiem posłannictwo polega na legalizowaniu i uzasadnianiu w granicach swej możliwości tego, co niesprawiedliwe i niedorzeczne. Ale że nawet nauka pozytywna przejawiała dotychczas te same tendencje – oto co musimy stwierdzić z ubolewaniem. Dwie tylko przyczyny mogły zdecydować o tym: przede wszystkim nauka pozytywna jest reprezentowana przez ciało uprzywilejowane, została bowiem stworzona poza życiem ludu; następnie do dziś jeszcze sama w sobie widzi absolutny i ostateczny cel całego rozwoju ludzkiego; a przecież stosując rozumną krytykę w stosunku do samej siebie, krytykę, do jakiej jest zdolna i do jakiej ostatniej instancji będzie zmuszona, powinna była zrozumieć, że stanowi tylko niezbędny środek do realizacji o wiele bardziej wzniosłego celu, celu, którym jest całkowite zhumanizowanie realnego położenia wszystkich realnie istniejących indywiduów, które rodzą się, żyją i umierają na ziemi.

Ogromna wyższość nauki pozytywnej nad teologią, metafizyką, polityką i jurysdykcją polega na tym, że zamiast kłamliwych i szkodliwych abstrakcji, zachwalanych przez te doktryny, tworzy abstrakcje prawdziwe, które wyrażają ogólną naturę lub samą logikę rzeczy, ich ogólne stosunki oraz ogólne prawa ich rozwoju. Oto co ją głęboko różni od wszystkich poprzednich doktryn i co jej na zawsze zapewni poważną pozycję wśród społeczeństwa ludzkiego. Stanie się ona jak gdyby zbiorowym jego sumieniem. Lecz pod jednym względem łączy się ze wszystkimi tamtymi doktrynami: nie ma ona mianowicie i nie może mieć innego przedmiotu poza abstrakcją, z samej swej natury zmuszona jest ignorować realnie istniejące indywidua, poza którymi nawet najprawdziwsze abstrakcje nie mają zgoła realnego bytu. Aby zaradzić temu zasadniczemu brakowi, trzeba będzie ustalić następującą różnicę między praktycznym oddziaływaniem poprzednich doktryn a oddziaływaniem nauki pozytywnej. Te pierwsze wykorzystywały ciemnotę mas, aby je z przyjemnością ofiarowywać swym abstrakcjom, zawsze zresztą przynoszącym wielkie zyski swym cielesnym przedstawicielom. Ta druga zaś uznając, że jest absolutnie niezdolna zrozumieć realnie istniejące indywidua i zająć się ich losem, powinna ostatecznie i absolutnie wyrzec się rządów nad społeczeństwem; gdyby się bowiem w nie wdała, nic innego nie mogłaby uczynić, tylko poświęciłaby ludzi żywych, których nie zna, swoim abstrakcjom, stanowiącym wyłączny przedmiot jej prawowitych zajęć.

się natura największych geniuszy powołanych do tego, by burzyć chylące się do upadku światy i zakładać fundamenty pod nowe światy.

Taki uczony ma lepsze maniery, więcej utylitarnej, praktycznej mądrości, ale myśl jego straciła na potędze. Słowem, demoralizuje się.

Właściwością przywileju i wszelkiego uprzywilejowanego stanowiska jest to, że zabijają one rozum i serce ludzkie. Człowiek uprzywilejowany pod względem politycznym bądź też ekonomicznym jest człowiekiem intelektualnie i moralnie zdemoralizowanym. Oto jest prawo społeczne, które nie dopuszcza żadnych

wyjątków i które stosuje się zarówno do całych narodów, jak do klas, do stowarzyszeń oraz do jednostek. Jest to prawo równości, najwyższego warunku wolności i człowieczeństwa. Głównym celem niniejszej książki jest właśnie rozwinięcie tego prawa i wykazanie jego prawdziwości we wszystkich przejawach życia ludzkiego.

Ciało naukowe, któremu byłyby powierzone rządy nad społeczeństwem, w krótkim czasie zaniedbałoby naukę i zajęłoby się zgoła inną sprawą; sprawą tą interesują się wszystkie ustanowione władze, a mianowicie przemyśliwają, jak uwiecznić siebie, i czynią to doprowadzając powierzone ich pieczy społeczeństwo do stanu coraz większego ogłupienia, a więc do takiego stanu, w którym coraz bardziej potrzebuje ono rządu i kierownictwa.

Wszystko to jest prawdziwe nie tylko w stosunku do akademii naukowych, lecz także w stosunku do wszelkich zgromadzeń konstytucyjnych i ustawodawczych, nawet jeżeliby wybrano je przez powszechne głosowanie. Prawda, że powszechne głosowanie może ich skład odnowić, to jednak nie przeszkadza, że w ciągu kilku lat tworzy się zespół polityków, uprzywilejowanych nie prawnie, lecz faktycznie, którzy oddając się wyłącznie kierowaniu publicznymi sprawami kraju, tworzą w końcu pewnego rodzaju arystokrację czy oligarchię polityczną. Tak się dzieje w Stanach Zjednoczonych oraz w Szwajcarii.

A zatem żadnego prawodawstwa pochodzącego z zewnątrz i żadnych władz; te zresztą dwie rzeczy są z sobą nierozłączne i wspólnie prowadzą do ujarzmienia społeczeństwa i do otępienia umysłowego samych prawodawców.

***

Czyżby z tego miało wynikać, że nie uznaję żadnego autorytetu? Daleki jestem od podobnych myśli. Jeżeli chodzi o buty, odwołuję się do autorytetu szewca; jeżeli chodzi o dom, o kanał lub kolej, zwracam się o radę do architekta lub inżyniera. W kwestii jakiejś nauki specjalnej zwracam się do takiego a

takiego uczonego. Ale nie daję sobie nic narzucić ani przez szewca, ani przez architekta, ani przez uczonego. Słucham ich opinii swobodnie i z całym szacunkiem należnym ich rozumowi, charakterowi, umiejętności, zachowując sobie jednak niezaprzeczalne prawo krytyki oraz kontroli. Nie zadowalam się radą jakiegoś jednego autorytetu w danej specjalności, zwracam się o nią do kilku specjalistów; zestawiam ich opinie i wybieram tę, która wydaje mi się najbardziej słuszna. Nie uznaję natomiast żadnych nieomylnych autorytetów, nawet w zagadnieniach całkowicie specjalnych; niezależnie przeto od szacunku, jaki mogę żywić dla uczciwości i szczerości danej jednostki – absolutnej wiary nie pokładam w nikim. Tego rodzaju wiara oddziałałaby fatalnie na mój rozum, na moją wolność, a nawet na powodzenie moich przedsięwzięć; pod jej wpływem przeobraziłbym się natychmiast w tępego niewolnika, w narzędzie cudzej woli i cudzych interesów.

Mogę schylić głowę przed autorytetem specjalistów, mogę oświadczyć, że jestem gotów stosować się do ich wskazówek, a nawet w pewnym stopniu i w pewnym okresie poddać się ich kierownictwu, jeśli uznam to za potrzebne, ponieważ ten autorytet nie został mi przez nikogo narzucony, ani przez ludzi, ani przez Boga. W przeciwnym razie odrzuciłbym go ze wstrętem i odesłał do wszystkich diabłów ich rady, ich kierownictwo i ich wiedzę, pewny, że za owinięte w stek kłamstw okruchy ludzkiej prawdy, jakich mogą mi udzielić, każą mi zapłacić utratą wolności i godności.

Schylam głowę przed autorytetem specjalistów, ponieważ własny mój rozum każe mi go uznać. Wiem, że nie jestem w stanie ogarnąć wiedzy ludzkiej we wszystkich jej szczegółach i w całym jej pozytywnym rozwoju – dostępny mi jest tylko niewielki jej zakres. Nawet najwyższa inteligencja nie zdoła objąć całości wiedzy. Zarówno więc nauka, jak i przemysł wymagają koniecznie podziału pracy i stowarzyszenia w pracy. Biorę i daję – takie jest życie ludzkie. Każdy jest autorytatywnym kierownikiem, ale też każdy z kolei jest kierowany. Nie ma więc bynajmniej autorytetów stałych i trwałych, władza i podporządkowanie wzajemnie się ciągle wymieniają, są to zjawiska przejściowe, a przede wszystkim dobrowolne.

Powyższe racje nie pozwalają mi uznać autorytetu, który by był niezastąpiony, trwały i uniwersalny; człowiek uniwersalny bowiem nie istnieje, nie ma człowieka, który byłby zdolny objąć wszystkie nauki, wszystkie dziedziny życia społecznego, w całym bogactwie szczegółów, bez których znajomości nie można zastosować nauki do życia. Gdyby zaś podobna uniwersalność mogła kiedykolwiek zrealizować się w jednym człowieku i gdyby zechciał on narzucić nam swój autorytet, takiego człowieka należałoby wyłączyć ze spo-

sferze abstrakcji. Zajmuje się ona ogólnym położeniem i ogólnymi warunkami egzystencji i rozwoju bądź rodzaju ludzkiego w ogóle, bądź pewnej rasy, pewnego narodu, pewnej klasy lub kategorii indywiduów; zajmuje się ogólnymi przyczynami ich powodzenia, lub też ich upadku, oraz ogólnymi środkami, które mogą przyśpieszyć ich postęp pod rozmaitymi względami. Oto jej misja. Gdyby tylko nauka szeroko i racjonalnie zrealizowała to zadanie, spełniłaby w zupełności swój obowiązek, i byłoby doprawdy śmieszne i niesprawiedliwe stawiać jej większe wymagania.

Byłoby rzeczą równie śmieszną i zgubną, gdyby ją obciążyć posłannictwem, któremu sprostać nie jest w stanie. Skoro została przez własną naturę zmuszona do ignorowania egzystencji i losu Piotra i Jakuba, nie może dopuścić, by ona czy ktoś w jej imieniu rządził Piotrem i Jakubem. Nauka bowiem byłaby zdolna potraktować ich tak samo niemal, jak traktuje króliki. Albo raczej byłaby ich w dalszym ciągu ignorowała; natomiast jej patentowani przedstawiciele, ludzie bynajmniej nie abstrakcyjni, lecz przeciwnie, pełni życia, mający zupełnie realne interesy, ulegając zgubnemu wpływowi, jaki przywilej w sposób fatalny wywiera na ludziach, w końcu w imię nauki obdzieraliby ludzi ze skóry, podobnie jak duchowieństwo, politycy wszelkich odmian oraz adwokaci w imię Boga, Państwa oraz jurysdykcji kiedyś obdzierali ich samych.

To, co głoszę, jest więc do pewnego stopnia buntem życia przeciwko nauce, lub raczej przeciwko rządom nauki. Nie mam zamiaru niszczyć nauki – byłaby to zbrodnia obrazy człowieczeństwa – lecz sprowadzić ją na właściwe miejsce w taki sposób, aby go nigdy nie mogła opuścić. Dotychczas cała historia ludzka przedstawia się jako nieprzerwane i krwawe pasmo ofiar składanych przez miliony biednych istot ludzkich na ołtarzu jakiejś bezlitosnej abstrakcji: bogów, ojczyzny, potęgi Państwa, honoru narodowego, praw historycznych, jurysdykcji, wolności politycznej, dobra publicznego. Taki był dotychczas naturalny, samorzutny i fatalny rozwój społeczeństw ludzkich. Nic na to nie możemy poradzić, musimy przyjąć wszystko, co było w przeszłości, jak przyjmujemy wszelką naturalną konieczność. Trzeba wierzyć, że była to jedyna możliwa droga, na której wychowywał się rodzaj ludzki. Nie trzeba się oszukiwać: jeżeli nawet uwzględnimy jak najbardziej szeroko wszystkie makiawelskie sztuczki klas rządzących, będziemy musieli uznać, że żadna mniejszość nie byłaby dość silna, aby narzucić masom tak straszliwe ofiary, gdyby w samych masach nie było zawrotnego, samorzutnego pędu, który by je pchał do poświęcenia się wciąż na nowo jednej z tych pożerających abstrakcji, karmiących się zawsze, jak wampiry dziejowe, krwią ludzką.

miejsca nowym, które również przeminą. Nauka wie, że w miarę tego, jak się przechodzi od gatunków zwierzęcych do gatunków wyższych, zasada indywidualności określa się z większą siłą, indywidua stają się coraz bardziej pełne i coraz bardziej wolne. Nauka wie wreszcie, że w człowieku, ostatnim i najbardziej doskonałym zwierzęciu na tej ziemi, indywidualność wyraża się najpełniej i jest najgodniejszą uwagi, gdyż człowiek posiada zdolność rozumienia i konkretyzowania, pewnego rodzaju uosabiania prawa uniwersalnego w samym sobie i w swoim bytowaniu, zarówno społecznym jak prywatnym. Nauka wie, o ile nie jest zgoła zepsuta przez teologiczny czy metafizyczny, polityczny czy prawny doktryneryzm, czy też nawet przez ciasną naukową pychę, i o ile nie jest zgoła głucha na głosy instynktów i samorzutnych dążeń życiowych, nauka wie, i w tym zawiera się jej ostatnie słowo, że poszanowanie człowieka jest najwyższym prawem człowieczeństwa i że wielkim, prawdziwym celem historii, celem jedynie usprawiedliwionym jest humanizacja i wyzwolenie, jest rzeczywista wolność, rzeczywista pomyślność, szczęście każdej jednostki żyjącej w społeczeństwie. Bo wreszcie, żeby nie popaść w zgubną dla wolności fikcję dobra publicznego reprezentowanego przez Państwo, w fikcję, którą się zawsze buduje na systematycznych ofiarach składanych przez masy ludowe, trzeba uznać, że wolność i pomyślność zbiorowa są rzeczywiste tylko wówczas, jeżeli reprezentują sumę wolności i pomyślności indywidualnych.

Nauka wie o tym wszystkim, ale nie wychodzi poza to i wyjść nie może. Abstrakcja, która stanowi jej własną naturę, może ująć dobrze zasadę indywidualności realnej i żywej, ale nie może mieć nic wspólnego z realnymi i żywymi indywiduami. Nauka zajmuje się indywiduami w ogóle, lecz nie poszczególnie Piotrem czy Jakubem, takim a takim indywiduum, które dla niej zgoła nie istnieje i istnieć nie może. Jej indywidua – powtarzam raz jeszcze – są tylko abstrakcjami.

Jednakże nie abstrakcyjne indywidualności, lecz realnie istniejące, żywe, przemijające indywidua tworzą historię. Abstrakcje same nie mogą poruszać się, ich ruch zależy od realnych ludzi. Nauka nie ma serca dla istot realnych, złożonych z krwi i ciała, nie tylko w idei, lecz i w rzeczywistości. Traktuje je co najwyżej jako materiał intelektualnego rozwoju społecznego. Cóż ją obchodzą warunki osobistego życia oraz przypadkowy los Piotra czy Jakuba? Ośmieszyłaby się, abdykowała i unicestwiła, gdyby zechciała się zajmować nimi inaczej niż jako przykładami na poparcie swych wieczystych teorii. I byłoby śmieszne mieć jej to za złe, ponieważ nie na tym bynajmniej polega jej posłannictwo. Nauka nie może ująć konkretu, może się poruszać tylko w

łeczeństwa, jego autorytet bowiem doprowadziłby niechybnie wszystkich innych do niewolnictwa i do niedołęstwa umysłowego. Jestem zdania, że społeczeństwo nie powinno krzywdzić ludzi genialnych, jak to dotychczas czyniło, lecz nie powinno im także zbytnio pobłażać, a zwłaszcza nadawać im jakichś przywilejów czy wyjątkowych praw, a to dla trzech przyczyn: przede wszystkim mogłoby się zdarzyć, że społeczeństwo wzięłoby za geniusza – szarlatana; następnie, stosując system przywilejów, mogłoby przeistoczyć nawet prawdziwie genialnego człowieka w szarlatana, mogłoby go zdemoralizować, ogłupić; i wreszcie stworzyłoby sobie despotę.

Streszczam, co powiedziałem. Uznajemy absolutny autorytet nauki, nauka bowiem ma tylko jeden przedmiot, mianowicie odtwarza w umyśle poprzez refleksje możliwie najbardziej systematycznie prawa naturalne, które panują zarówno w materialnym, jak intelektualnym i moralnym życiu, w świecie fizycznym i w świecie społecznym, w tych dwóch światach stanowiących faktycznie jeden i ten sam świat natury. Poza tą jedyną prawowitą władzą, gdyż jest to władza racjonalna i zgodna z wolnością ludzką, wszelkie inne są kłamliwe, arbitralne, despotyczne i zgubne.

Uznajemy absolutny autorytet nauki, lecz odrzucamy tezę o nieomylności i uniwersalności przedstawicieli nauki. My, w naszym Kościele – pozwolę sobie posłużyć się przez chwilę tym wyrazem, choć budzi on we mnie nienawiść, Kościół i Państwo bowiem to dla mnie dwie czarne owce – w naszym Kościele, jak w Kościele protestanckim, mamy swego kierownika, niewidzialnego Chrystusa, naukę; i jak protestanci, a nawet bardziej konsekwentnie niż protestanci, nie chcemy w Kościele swym mieć ani papieża, ani soborów, ani nieomylnych konklawe kardynałów, ani biskupów, ani nawet księży. Nasz Chrystus różni się od Chrystusa protestanckiego i w ogóle chrześcijańskiego tym, że nie jest jak tamten istotą osobową, lecz nieosobową; Chrystus chrześcijański, którego posłannictwo wypełniło się już w odwiecznej przeszłości, przedstawia się jako istota doskonała, podczas gdy spełnienie się misji i doskonałość naszego Chrystusa nauki należą ciągle do przyszłości: to znaczy, że nigdy nie zostaną zrealizowane. Oddając absolutną władzę jedynie absolutnej nauce, w niczym nie narażamy naszej wolności. Gdy mówię „nauka absolutna", myślę o nauce prawdziwie uniwersalnej, która by w sposób idealny, w całej rozciągłości i we wszystkich nieskończonych szczegółach odtwarzała wszechświat: myślę o systemie czy koordynacji wszystkich praw naturalnych przejawiających się w nieprzerwanym rozwoju światów. Jest rzeczą oczywistą, że taka nauka, wzniosły przedmiot wszystkich wysiłków umysłu ludzkiego, nie zrealizuje się nigdy w swej absolutnej pełni. Nasz Chrystus po-

zostanie więc niedoskonały po wieczne czasy, jego więc patentowani przedstawiciele żyjący pośród nas muszą poskromić swą pychę. Przeciwko temu Bogu-Synowi, w imię którego zamierzaliby narzucić nam swoją bezczelną i pedantyczną władzę, my odwołamy się do Boga-Ojca, a więc do świata realnego, do realnego życia, których my, istoty realne, żyjące, pracujące, walczące, kochające, mające nadzieję, cieszące się i cierpiące, jesteśmy bezpośrednimi przedstawicielami, podczas gdy Bóg-Syn jest tylko ich niedoskonałym wyrazem.

Odrzucając, więc zdecydowanie absolutny, uniwersalny i nieomylny autorytet ludzi nauki, chylimy chętnie głowę przed czcigodnym, choć względnym i całkiem przejściowym, bardzo ograniczonym autorytetem przedstawicieli nauk specjalnych. Żądamy od nich tylko tego, by dawali nam od czasu do czasu rady, i z wdzięcznością przyjmiemy cenne wskazówki, jakich zechcą udzielić, pod tym jednak warunkiem, że i oni będą korzystać z naszych pouczeń w tych okolicznościach i rzeczach,, na których my się lepiej od nich znamy. Nie mamy nic przeciwko temu, aby ludzie posiadający wielką wiedzę, wielkie doświadczenie, wielki rozum, a zwłaszcza wielkie serce wywierali na nas wpływ. Jest to wpływ naturalny i uzasadniony, dobrowolnie przez nas przyjmowany, o ile oczywiście nie został narzucony w imię jakiegoś oficjalnego autorytetu, obojętne – niebiańskiego czy ziemskiego. My uznajemy wszelkie naturalne autorytety i wszelkie oddziaływanie, którego źródłem jest fakt, nie zaś prawo; albowiem wszelki autorytet i wszelki wpływ prawa oficjalnie nam narzuconego przekształciłby się od razu w ucisk i kłamstwo, a to doprowadziłoby nas niezawodnie do niewoli i ogłupienia, czego – jak sądzę – dowiodłem już w sposób dostateczny.

Słowem, odrzucamy wszelkie prawodawstwo, wszelką władzę i wszelkie wpływy uprzywilejowanych, patentowanych, oficjalnych i uprawnionych, wpływy tych, którzy rządzą w rezultacie powszechnego głosowania, jesteśmy, bowiem przeświadczeni, że ludzie ci zawsze wykorzystają swe wpływy jedynie na korzyść panującej i wyzyskującej mniejszości, a przeciwko interesom olbrzymiej ujarzmionej większości.

W takim właśnie znaczeniu jesteśmy istotnie anarchistami.

Współcześni idealiści pojmują autorytet w sposób zgoła odmienny. Choć są wolni od tradycyjnych przesądów wszelkich istniejących religii pozytywnych, niemniej jednak nadają idei autorytetu sens boski, absolutny. Autorytet ten nie ma waloru prawdy w cudowny sposób objawionej ani też prawdy ściśle i naukowo dowiedzionej. Budują go w oparciu o kilka pseudofilozoficznych argumentów na wielkiej, mglisto-religijnej wierze, na licznych

Rozdział III

Nie należy jednak zbyt na to liczyć. Można być niemal pewnym, iż żaden uczony nie ośmieli się dziś traktować człowieka tak, jak traktuje królika; trzeba się jednak zawsze wystrzegać, by zbiorowe ciało naukowe, o ile mu się na to pozwoli, nie poddało żywych ludzi doświadczeniom naukowym, niewątpliwie mniej okrutnym, niemniej jednak katastrofalnym dla swych ludzkich ofiar. Jeżeli uczeni nie będą mogli przeprowadzać doświadczeń na ciele poszczególnych ludzi, przeprowadzą je chętnie na ciele społeczeństwa, a właśnie do tego absolutnie nie można dopuścić.

Przy obecnej organizacji uczeni mają monopol na naukę, na skutek czego pozostają poza życiem społecznym, tworzą niewątpliwie odrębną kastę, która ma wiele analogii z kastą kapłanów. Abstrakcja naukowa jest ich Bogiem, jednostki żywe i realne są ofiarami, oni zaś, uświęceni i patentowani, składają te jednostki w ofierze.

Nauka nie może wyjść poza sferę abstrakcji. Pod tym względem nauka stoi nieskończenie niżej od sztuki. Również sztuka operuje tylko ogólnymi typami i ogólnymi sytuacjami, ale z właściwym sobie kunsztem potrafi wcielać je w formy nie będące bynajmniej żywymi w sensie życia realnego, wywołującymi jednak w naszej wyobraźni wrażenie czy wspomnienie tego życia. Ujmując w formę sztuka w pewien sposób indywidualizuje typy i sytuacje i dzięki tym indywidualnościom pozbawionym krwi i ciała i jako takim trwałym i nieśmiertelnym, których ma moc tworzenia, przypomina nam indywidualności żywe, realne, zjawiające się i znikające w naszych oczach. Sztuka więc jest pewnego rodzaju powrotem abstrakcji ku życiu. Nauka, przeciwnie, stale składa w ofierze krótkotrwałe, przelotne, ale realne życie na ołtarzu odwiecznych abstrakcji.

Nauka nie jest zdolna uchwycić indywidualności człowieka równie jak królika. To znaczy, że jest równie obojętna w stosunku do jednego, jak drugiego. Nie znaczy to, by obca jej była zasada indywidualności. Nauka doskonale ją ujmuje jako zasadę, lecz nie jako fakt. Wie doskonale, że wszystkie gatunki zwierzęce włącznie z rodzajem ludzkim istnieją realnie tylko w nieograniczonej liczbie indywiduów; że te indywidua rodzą się i umierają ustępując

ja trwałe słupy milowe na drodze postępu ludzkości. Ona ukazuje ludziom te ogólne warunki, których ścisłe przestrzeganie jest niezbędne, a których nieznajomość czy niepamięć prowadzą zawsze do fatalnych skutków. Słowem, nauka jest busolą życia, ale życiem nie jest. Nauka jest niezmienna, nieosobowa, ogólna, abstrakcyjna, obojętna, jak prawa, których jest tylko idealnym, refleksyjnym czy myślowym, to jest mózgowym odtworzeniem (pamiętajmy, że sama nauka jest tylko materialnym wytworem materialnego organu materialnego organizmu człowieka, mózgu). Życie jest krótkotrwałe i przejściowe, lecz tętni realnością i indywidualnością, wrażliwością, cierpieniem, radością, dążeniami, potrzebami i namiętnościami. Tylko życie samorzutnie stwarza rzeczy i wszystkie realne byty. Nauka nic nie stwarza, stwierdza tylko i uznaje to, co życie stworzyło.

Za każdym razem, kiedy ludzie nauki, opuszczając swój świat abstrakcji, mieszają się do istot żyjących w świecie realnym, wszystko, co proponują i co tworzą, jest ubogie, śmiesznie abstrakcyjne, pozbawione krwi i życia, poronione, podobne homunculusowi stworzonemu przez Wagnera, pedantycznego ucznia nieśmiertelnego doktora Fausta. Z tego wynika, że posłannictwo nauki polega jedynie na objaśnianiu życia, lecz nie na rządzeniu nim.

Rządy nauki oraz ludzi nauki, choćby ci ludzie nazywali się nawet pozytywistami, zwolennikami Augusta Comte'a, choćby byli uczniami doktrynerskiej szkoły komunizmu niemieckiego – byłyby to rządy bezsilne, śmieszne, nieludzkie, okrutne, ciemiężcze, wyzyskujące, szkodliwe. O ludziach nauki, jako takich, można powiedzieć to, co powiedziałem o teologach i metafizykach: oni nie mają zrozumienia ani serca dla istot indywidualnych i żywych. Nie można nawet robić im z tego powodu zarzutu, ponieważ jest to naturalną konsekwencją ich zawodu. Jako ludzie nauki, mogą zajmować się, mogą się interesować tylko uogólnieniami; prawami [...][3].

[...] nie są oni wyłącznie naukowcami, są także w mniejszym lub większym stopniu ludźmi życiowymi.

[3] Tu brak trzech stron rękopisu. (przyp. red.)

uczuciach idealnych, abstrakcyjnych, poetyckich. Ich religia jest jak gdyby ostatnią próbą ubóstwienia wszystkiego, co jest w człowieku ludzkie.

Te dążenia są całkowicie sprzeczne z tym, czego my chcemy dokonać. Mając na celu wolność ludzką, godność ludzką i ludzką pomyślność, uważamy za swój obowiązek odebrać Niebu dobra, jakie zrabowało ziemi, i ziemi je przywrócić. Oni natomiast, usiłując popełnić ostatnią, religijną i bohaterską kradzież, pragnęliby tę wolność, godność i pomyślność zwrócić na nowo temu boskiemu, obecnie zdemaskowanemu grabieżcy – niebu, które z kolei przez zuchwałą bezbożność oraz naukową analizę wolnomyślicieli zostało ograbione z wszystkiego, co w człowieczeństwie największe, najpiękniejsze, najszlachetniejsze.

Idealistom wydaje się, że idee i sprawy ludzkie wówczas będą cieszyć się największym wśród ludzi autorytetem, gdy nadana im zostanie sankcja boska. Jak się objawia ta sankcja? Nie w jakimś cudzie, jak w religiach pozytywnych, tylko w wielkości czy nawet w świętości idei oraz spraw: wszystko, co wielkie, co piękne, co szlachetne, co sprawiedliwe, jest uznane za boskie. W tym nowym kulcie religijnym każdy człowiek natchniony przez te idee, przez te sprawy, staje się kapłanem uświęconym bezpośrednio przez samego Boga. A co jest tego dowodem? Dowodem jest sama wielkość idei, które kapłan wyraża, spraw, które spełnia; innych dowodów nie trzeba. Idee te są tak święte, że mogą być inspirowane jedynie przez Boga.

Oto ich cała filozofia zawarta w kilku słowach: filozofia uczuć, a nie realnych myśli, rodzaj metafizycznego pietyzmu. Wydaje się to rzeczą niewinną, lecz bynajmniej tak nie jest; bardzo ścisła, bardzo ciasna i bardzo oschła doktryna, która się kryje za nieuchwytną zwiewnością tych poetyckich form, prowadzi do tych samych opłakanych rezultatów co i wszystkie religie pozytywne: to jest do pełnej negacji wolności i godności ludzkiej.

Kto głosi, że wszystko, co w ludziach wielkie, sprawiedliwe, szlachetne, piękne – jest boskie, ten musi uznać, że ludzkość z natury rzeczy jest niezdolna sama z siebie wytwarzać wartości; to zaś prowadzi do stwierdzenia, że ludzkość pozostawiona sama sobie jest z natury nędzna, niesprawiedliwa, pospolita i szpetna. Wróciliśmy więc znowu do tezy istotnej dla wszelkich religii, tezy, która oczernia ludzkość, aby przysporzyć boskości jak największej chwały. A z chwilą kiedy przyjęło się tę tezę o naturalnej niższości człowieka, tezę, która dowodzi, że człowiek jest absolutnie niezdolny wznieść się sam z siebie, bez udziału jakiejkolwiek boskiej inspiracji, w sferę słusznych i prawdziwych idei – trzeba z konieczności przyjąć również wszystkie teologiczne, polityczne i społeczne konsekwencje religii pozytywnych. Z chwilą zaś kiedy

Bóg, Istota doskonała i najwyższa, zostaje przeciwstawiony ludzkości, wtedy pośrednicy boscy, wybrani i natchnieni przez Boga, zjawiają się jakby spod ziemi, by oświecać, kierować i rządzić w jego imieniu rodzajem ludzkim.

Czy nie można by założyć, że wszyscy ludzie są jednakowo przez Boga natchnieni? Wówczas na pewno pośrednicy nie byliby potrzebni. Takie jednak założenie jest niemożliwe, gdyż zaprzeczają mu fakty. Konsekwentnie, bowiem należałoby uznać, że wszelkie niedorzeczności i błędy, wszelkie okropności, bezecności, nikczemności i głupstwa popełniane w świecie ludzkim mają swe źródło w natchnieniu Boga. A więc tylko nieliczni na świecie mogą być przez Boga natchnieni. Są to wielkie postacie historyczne, pełni cnoty geniusze, jak mówi znakomity obywatel i prorok włoski, Giuseppe Mazzini: Natchnieni bezpośrednio przez samego Boga, opierając się na zgodzie powszechnej wyrażonej w głosowaniu powszechnym – Dio e Popolo – są oni powołani, by rządzić społeczeństwami ludzkimi[1].

Oto wróciliśmy znowu do sprawy Kościoła i Państwa. Prawda, że w tej nowej organizacji utworzonej, jak wszystkie dawne organizacje polityczne, z łaski Boga, ale tym razem opartej, przynajmniej pod względem formy, a taka koncesja jest niezbędna w stosunku do ducha współczesności – na woli (fikcyjnej) ludu, podobnie jak to zostało wyrażone w przedmowach do cesarskich dekretów Napoleona III, otóż w tej organizacji Kościół nie będzie się nazywał Kościołem, lecz Szkołą. Ale na tych szkolnych ławkach będą siedziały nie tylko dzieci: będzie tam siedział, uznany za małoletniego, wieczny uczeń, którego uważa się za zbyt mało zdolnego, by zdał kiedykolwiek egzaminy, by przyswoił sobie wiedzę swych nauczycieli i mógł obejść się bez ich dyscypliny – słowem, siedzieć tam będzie lud[2].

[1] Przed sześciu czy siedmiu laty słyszałem w Londynie p. Louis Blanca wypowiadającego tę samą niemal myśl: „Najlepszą formą rządu – powiedział mi – byłaby taka forma, dzięki której powoływano by zawsze we wszystkich sprawach ludzi genialnych, pełnych cnoty.

[2] Zapytałem raz Mazziniego, jakie zamierza się przedsięwziąć środki, aby wyzwolić lud, gdy już jego zwycięska zjednoczona republika będzie ostatecznie utworzona. „Przede wszystkim – odpowiedział – należy założyć szkoły dla ludu. A czego w tych szkołach będzie się lud uczył? Obowiązków człowieka, ofiary i poświęcenia". Skąd jednak weźmiecie dostateczną ilość profesorów, wykładających tego rodzaju przedmioty, wszakże nikt nie ma prawa ani możności nauczania, jeśli sam nie świeci przykładem? A czyż liczba ludzi, którzy znajdują najwyższą przyjemność w ofierze i poświęceniu, nie jest bardzo ograniczona? Ci, którzy poświęcają się służbie wielkiej idei, posłuszni wzniosłej ambicji i zaspokajając tą osobistą ambicją, bez czego samo życie nie miałoby dla nich żadnej wartości – ci ludzie mają zazwyczaj wiele ważniejszych spraw niż tworzenie ze swego działania doktryny. Natomiast ci, którzy tworzą doktrynę, zapominają najczęściej o przekształceniu jej na działanie z tej prostej przyczyny, że doktryna zabija życie, zabija żywą spontaniczność działania. Tacy ludzie jak Mazzini, którzy umieli doktrynę i dzia-

miłości ludzkiej. Rozpatrując wszystko, co istnieje, wszystko, co zachodzi w świecie z punktu widzenia wieczności lub też abstrakcyjnej idei, zaczynają traktować pogardliwie rzeczy przemijające; ale wszak całe życie realnie istniejących ludzi z krwi i kości składa się tylko z przemijających rzeczy; sami ludzie są istotami, które mijają, i gdy już raz przeminą, zostaną zastąpieni przez inne istoty także przemijające, we własnej zaś osobie nie powrócą nigdy. Tym, co jest trwałe i względnie wieczne w rzeczywistych ludziach, jest fakt człowieczeństwa, które stale się rozwija i coraz bogatsze przechodzi z pokolenia na pokolenie. Mówię: względnie wieczne, skoro bowiem nasza planeta ulegnie zniszczeniu – a nie omieszka wcześniej czy później zginąć, albowiem każda rzecz mająca początek musi mieć niechybnie i koniec – skoro więc nasza planeta ulegnie rozkładowi, stając się niewątpliwie elementem nowego ciała w systemie wszechświata, jedynym systemie istotnie wiecznym, kto wie, co się stanie z całym naszym rozwojem ludzkim. Ponieważ jednak moment tego rozkładu jest niezmiernie od nas odległy, możemy doskonale traktować ludzkość jako wieczną w stosunku do tak krótkiego życia ludzkiego. Lecz sam fakt postępu ludzkości jest realny i żywy o tyle tylko, o ile przejawia się i realizuje w określonym czasie, w określonym miejscu, w ludziach realnie żyjących, a nie w ogólnej idei.

***

Idea ogólna jest zawsze abstrakcją i przez to samo pewnego rodzaju zaprzeczeniem życia realnego. W Dodatku stwierdziłem, że myśl ludzka, a w konsekwencji także i nauka, posiada tę właściwość, iż w faktach realnych może uchwycić i określić tylko ich sens ogólny, ich ogólne stosunki, ich prawa ogólne; słowem, to, co jest stałe w ciągłych przekształceniach rzeczy, natomiast nigdy nie może uchwycić ich strony materialnej, jednostkowej i – żeby tak powiedzieć – tętniącej realnością i życiem, a przez to samo przelotnej i nieuchwytnej. Nauka zawiera myśl o realności, ale nie samą realność, myśl o życiu, ale nie samo życie. Oto jej granica, jedyna granica naprawdę nieprzekraczalna, uwarunkowana bowiem samą naturą myśli ludzkiej, będącej jedynym narzędziem nauki.

Z natury myśli wynikają bezsporne prawa nauki oraz jej wysokie posłannictwo, lecz jednocześnie i niemoc życiowa, a nawet jej szkodliwe działanie za każdym razem, gdy przez swych oficjalnych, patentowanych przedstawicieli przywłaszcza sobie prawo rządzenia życiem. Posłannictwo nauki jest takie: stwierdza ona, jakie ogólne stosunki zachodzą pomiędzy rzeczami przemijającymi i realnymi, bada ogólne prawa dotyczące rozwoju zjawisk zarówno świata fizycznego, jak społecznego – i w ten sposób, że tak powiem – wbi-

nieskończenie mała. Pomnóżcie miliardy miliardów przez miliardy miliardów, ich iloczyn będzie, w porównaniu z nieskończoną wielkością, nieskończenie mały, a nieskończenie małe równa się zeru. Bóg jest wszystkim, a więc człowiek i z nim cały świat realny, wszechświat, jest niczym. Innego wyjścia nie ma.

Bóg się zjawia, człowiek się unicestwia; a im Bóstwo staje się większe, tym ludzkość nędzniejsza. Oto jest historia wszystkich religii; oto rezultat wszystkich inspiracji i wszystkich prawodawstw boskich. W historii imię Boga odgrywa rolę straszliwej dziejowej maczugi, za pomocą, której ludzie przez Boga natchnieni, wielcy „cnotliwi geniusze" zburzyli wolność, godność, rozum i pomyślność ludzką.

Na początku był upadek Boga. Teraz obserwujemy upadek, który nas bardziej interesuje, upadek człowieka, którego przyczyną jest samo zjawienie się czy objawienie Boga na ziemi.

Oto w jak głębokim błędzie pogrążeni są nasi drodzy i znakomici idealiści. Mówiąc nam o Bogu, pragną i wierzą, że nas podniosą, wyzwolą, uszlachetnią, tymczasem gnębią nas i upokarzają. Wyobrażają sobie, że w imię Boga mogą ustanowić braterstwo między ludźmi, gdy tymczasem tworzą pychę, pogardę, sieją niezgodę, nienawiść, wojnę, ugruntowują niewolnictwo. Albowiem wraz z pojęciem Boga wprowadza się niezawodnie rozmaite stopnie inspiracji boskiej; ludzkość dzieli się na bardzo natchnionych, na mniej natchnionych i tych, którzy nie zostali natchnieni. Wszyscy razem są niczym wobec Boga; gdy jednak porównamy ich między sobą, okaże się, że jedni są więksi od drugich; jest to nie tylko nic nie znacząca nierówność faktyczna, ta bowiem zatraca się w zbiorowości sama przez się, o ile nie znajduje w niej niczego, żadnej fikcji czy uprawnionej instytucji, której mogłaby się uczepić; nie, jedni stają się więksi od innych na skutek boskiego prawa inspiracji: ono natychmiast ustanawia nierówność trwałą, ciągłą i niezmienną jak kamień. Ci bardziej natchnieni powinni budzić posłuch i uległość wśród mniej natchnionych; ci mniej natchnieni – u tych nie natchnionych. Oto zasada dobrze ustanowionej władzy, a wraz z nią dwóch fundamentalnych instytucji niewolnictwa: Kościoła i Państwa.

Spośród wszystkich despotyzmów najgorszym jest despotyzm doktrynerów albo ludzi natchnionych przez religię. Dbają oni tak o chwałę swego Boga i o zwycięstwo swej idei, że nie starcza im serca ani dla wolności, ani dla godności, ani nawet dla cierpienia żywych, rzeczywistych ludzi. Pod wpływem gorliwości w stosunku do Boga, przez zaprzątnięcie umysłów ideą w najbardziej czułych duszach, najbardziej współczujących sercach wysychają źródła

łanie zespolić w jedną cudowną całość, są nader rzadkimi wyjątkami. Chrześcijaństwo miało także wielkich ludzi, ludzi świętych, którzy czynili rzeczywiście lub przynajmniej z całą pasją usiłowali czynić wszystko to, co głosili, i których serca, przepełnione miłością, pełne były pogardy dla rozkoszy i dóbr tego świata. Ale ogromna większość księży katolickich i protestanckich, którzy zgodnie z zawodem głosili i głoszą doktrynę czystości, wstrzemięźliwości i wyrzeczenia, przykładem swoim zadawała na ogół kłam swej doktrynie. Nie bez powodu, lecz na skutek wielowiekowego doświadczenia zrodziły się wśród ludów wszystkich krajów takie oto powiedzenia: rozpustny jak ksiądz; łakomy jak ksiądz; ambitny jak ksiądz; chciwy, interesowny jak ksiądz. Zostało wszak stwierdzone, że księża, nauczyciele cnót chrześcijańskich, uświęceni przez Kościół, u ogromnej większości postępowali odwrotnie w stosunku do tego, co głosili. Już sam ten fakt, sama jego powszechność dowodzi, że nie należy obciążać winą jednostek, lecz winić sytuację społeczną, w jakiej znalazły się te jednostki, sytuację, która jest w istocie nie do zniesienia i zawiera sprzeczność wewnętrzną. W położeniu księdza chrześcijańskiego tkwi podwójna sprzeczność. Przede wszystkim istnieje sprzeczność między doktryną wstrzemięźliwości i wyrzeczenia a pozytywnymi dążeniami i potrzebami natury ludzkiej, dążeniami i potrzebami, które w pewnych indywidualnych przypadkach, zawsze bardzo rzadkich, mogą być ustawicznie tłumione, ograniczone, a nawet całkowicie unicestwione dzięki stałemu wpływowi jakiejś silnej intelektualnej czy moralnej pasji; o dążeniach tych i potrzebach można w pewnych momentach zbiorowej egzaltacji zapomnieć, może je na jakiś czas zaniedbać jednocześnie znaczna ilość ludzi; są one jednakże nieodłączne od natury ludzkiej, zawsze upomną się o swe prawa i w końcu, gdy hamuje się ich regularne i normalne zaspokajanie – znajdą dla siebie ujście w sposób szkodliwy i zwyrodniały. Jest to prawo naturalne, a więc nieodwracalne, prawo, które obejmuje nieuchronnie swym zgubnym działaniem wszystkich duchownych chrześcijańskich, a zwłaszcza księży Kościoła rzymskokatolickiego. Prawo to nie może dotyczyć profesorów Szkoły, to jest księży Kościoła współczesnego, o ile ich także nie zobowiąże się do głoszenia wstrzemięźliwości i wyrzeczenia w duchu chrześcijańskim. Ale istnieje inna sprzeczność w położeniu zarówno jednych, jak i drugich. Sprzeczność ta jest związana z tytułem i z samą pozycją władcy, który rozkazując, uciskając i wyzyskując postępuje zupełnie logicznie i naturalnie. Natomiast władca, który poświęca się dla ludzi podporządkowanych mu na skutek jego przywilejów boskich czy ludzkich, jest istotą pełną sprzeczności i wręcz nierealną. Tak stwarza się obłudę, której doskonałym ucieleśnieniem jest papież, podający się za najniższego sługę sług bożych – i dla udokumentowania tych słów, idąc za przykładem Chrystusa, raz na rok myje nawet stopy dwunastu żebrakom rzymskim – papież, który w istocie uważa się za wikariusza Pana Boga, za absolutnego i nieomylnego władcę świata. Czyż trzeba przypominać, że duchowni wszystkich Kościołów dalecy byli od poświęceń i trzodę powierzoną ich pieczy zawsze składali w ofierze, wyzyskiwali, dążąc do tego, by pozostała tylko trzodą, gdyż w ten sposób zaspokajali swe własne osobiste ambicje, a także oddawali usługi wszechmocnemu Kościołowi? W identycznych warunkach z identycznych przyczyn wynikają zawsze identyczne rezultaty. To samo czeka profesorów współczesnej Szkoły, natchnionych przez Boga i patentowanych przez Państwo. Nie ulega wątpliwości, że będą oni – jedni bezwiednie, inni z całą świadomością rzeczy – nauczać doktryny, według której lud musi się poświęcać na korzyść potęgi Państwa oraz na korzyść klas uprzywilejowanych. Czyż więc należy znieść w społeczeństwie całe nauczanie i usunąć wszystkie szkoły? Nie, bynajmniej, trzeba pełnymi rękami siać wiedzę wśród mas i trzeba wszystkie kościoły, wszystkie świątynie poświęcone chwale boskiej i niewolnictwu ludzi przerobić na szkoły wyzwolenia człowieka. Ale przede wszystkim musimy zrozumieć, że szkoły we właściwym tego słowa znaczeniu w normalnym społeczeństwie, opartym na równości i na poszanowaniu wolności ludzkiej, powinny być przeznaczone tylko dla dzieci, a nie dla dorosłych; aby zaś stały się szkołami wyzwolenia, nie

niewolnictwa, trzeba będzie przede wszystkim usunąć z nich tę fikcję Boga, odwiecznego i bezwzględnego ujarzmiciela; trzeba, aby cale wychowanie i nauczanie dzieci zmierzało do rozwoju ich rozumu przez naukę, a nie do rozwoju wiary; by opierało się na potęgowaniu w nich godności i niezależności, a nie potęgowaniu pobożności i posłuszeństwa; na wpajaniu kultu prawdy i sprawiedliwości za wszelką cenę, a przede wszystkim na wpajaniu szacunku dla ludzi, który powinien we wszystkim i wszędzie zastąpić kult Boga. Naturalnym punktem wyjścia w wychowaniu dzieci jest zasada autorytetu; jest ona usprawiedliwiona, a nawet konieczna, wówczas gdy wychowujemy zupełnie małe dzieci, których rozum jest zgoła jeszcze nierozwinięty; ponieważ jednak każdy rozwój, a więc także i wychowanie zawiera w sobie kolejne negacje punktu wyjścia, to zasada autorytetu powinna stopniowo się zwężać, tak by wychowywane i uczone dzieci posuwając się naprzód zyskiwały coraz większą swobodę. Racjonalne wychowanie polega w gruncie rzeczy na tym tylko, że stopniowo zasada autorytetu ustępuje na korzyść idei wolności; ostatecznym celem wychowania powinno być kształtowanie ludzi wolnych, miłujących wolność i pełnych szacunku dla wolności innych. Toteż pierwszy dzień życia szkolnego, o ile szkoła przyjmuje zupełnie małe dzieci, które umieją zaledwie wyjąkać kilka wyrazów, musi być dniem największego autorytetu i niemal zupełnego braku wolności; natomiast ostatni dzień szkolny winien przynieść jak najwięcej wolności i absolutnie zacierać wszelkie ślady zwierzęcej czy boskiej zasady autorytetu. Stosować zasadę władzy względem ludzi, którzy przeszli czy też osiągnęli pełnoletność, jest rzeczą potworną, jawną negacją człowieczeństwa, źródłem niewolnictwa oraz intelektualnej i moralnej demoralizacji. Niestety, ojcowskie rządy pozwoliły jednak masom ludowym spleśnieć w tak głębokim nieuctwie, że trzeba będzie zakładać szkoły nie tylko dla dziatwy ludu, lecz także i dla samego ludu. Z tych szkół należy Jednak całkowicie usunąć najmniejsze nawet próby stosowania lub wszelkie przejawy zasady władzy. To już nie będą szkoły, lecz akademie ludowe, w których nie będzie mogło być mowy ani o uczniach, ani o nauczycielach; lud będzie tutaj swobodnie przychodził po wolną naukę, o ile uzna to za potrzebne, a sam, bogaty w doświadczenie, będzie z kolei mógł wielu rzeczy nauczyć profesorów, biorąc od nich te wiadomości, Jakich sam nie posiada. Będzie to więc wzajemne nauczanie, akt intelektualnego braterstwa między wykształconą młodzieżą i ludem. Prawdziwą szkołą dla ludu i dla wszystkich dojrzałych ludzi jest życie. Natomiast w społeczeństwie ugruntowanym na równości i solidarności, na wolności i na poszanowaniu człowieka oraz na wzajemnym szacunku wszystkich jego członków – w społeczeństwie tym jedynym wielkim i wszechpotężnym autorytetem naturalnym i racjonalnym zarazem, jedynym, jaki moglibyśmy szanować, jest kolektywny i powszechny rozum. Jest to autorytet bynajmniej nie boski, lecz całkowicie ludzki, przed którym jednak chętnie schylimy głowy, mając pewność, że on nie tylko nie ujarzmi człowieka, lecz go wyzwoli. Bądźcie pewni, że ten autorytet będzie tysiąc razy potężniejszy aniżeli wszystkie wasze władze boskie: teologiczna, metafizyczna, polityczna i prawna, władze ustanowione przez Kościół i Państwo; ten autorytet będzie miał większą potęgę niż wasze kodeksy karne, wasi dozorcy więzienni i wasi kaci. Siła zbiorowych uczuć i opinia publiczna już dziś jest bardzo poważna. Nawet ludzie zdolni do zbrodni rzadko ośmielają się stawiać tej opinii czoło i jawnie ją obrażać. Starają się ją oszukać, ale także starają się usilnie, by jej nie pogwałcić, chyba że czują oparcie przynajmniej w jakiejś mniejszości. Żaden człowiek, choćby uważał się za nie wiadomo jak silnego, nie ma siły znieść jednomyślnej pogardy społeczeństwa, żaden człowiek nie potrafi żyć nie czując oparcia w uznaniu i szacunku przynajmniej pewnej części tego społeczeństwa. Człowieka takiego muszą ożywiać głębokie i bardzo szczere przekonania, by zdobył się na odwagę i stanął w opozycji przeciwko wszystkim; nigdy odwagi tej nie posiądzie egoista, człowiek zdemoralizowany 1 tchórzliwy. Fakt ten, który każdy z nas codziennie może stwierdzać obserwując samego siebie i wszystkich znanych mu ludzi, jest najlepszym dowodem istnienia naturalnej i

dostało, gdyby nie litość nad nim innego Bóstwa, które się nie oblekło w materię, lecz pozostało w stanie czystego ducha na wzniosłych wyżynach absolutnego ideału lub w sferach niebiańskich.

Oto nowa tajemnica. Tajemnica Bóstwa rozpadającego się na dwie połowy, z których obie są zarazem całością i nieskończonością i z których jedna – Bóg-Ojciec – pozostała w sferze czystej niematerialności, druga zaś – Bóg-Syn – pozwoliła się oblec w materię. Zobaczymy, że te dwa Bóstwa, oddzielone od siebie, znajdują się w stałych stosunkach od góry ku dołowi i od dołu ku górze; i że te stosunki, traktowane jako jeden akt odwieczny i ciągły, określają Ducha Świętego. Oto czym jest w swym prawdziwym teologicznym i metafizycznym sensie ta wielka, straszna tajemnica chrześcijańskiej Świętej Trójcy.

Lecz porzućmy czym prędzej wyżyny i zobaczymy, co się dzieje na ziemi.

Bóg-Ojciec z wysokości swego odwiecznego majestatu widząc, że ów biedny Bóg-Syn, zmiażdżony i ogłuszony swym upadkiem, pogrążył się i zagubił w materii do tego stopnia, że nawet w stanie ludzkim nie zdołał siebie odnaleźć – postanowił mu wreszcie przyjść z pomocą. Spośród tej olbrzymiej ilości nieśmiertelnych, boskich i jednocześnie nieskończenie małych cząstek, w których Bóg-Syn rozdrobnił się tak dalece, że już siebie nie mógł w nich rozpoznać, Bóg-Ojciec wybrał niektóre, budzące w nim największe upodobanie, i uczynił z nich swoich natchnionych proroków, swoich „ludzi genialnie cnotliwych", wielkich dobroczyńców i prawodawców ludzkości: Zaratustrę, Buddę, Mojżesza, Konfucjusza, Likurga, Solona, Sokratesa, boskiego Platona, a nade wszystko Jezusa Chrystusa, całkowitą realizację Boga-Syna, skupionego wreszcie i ześrodkowanego w jednej postaci ludzkiej; także wszystkich apostołów, świętego Piotra, świętego Pawła, a zwłaszcza świętego Jana; Konstantym Wielkiego, Mahometa, następnie Karola Wielkiego, Grzegorza VII, Dantego, a zdaniem niektórych także Lutra, Voltaire'a i Rousseau, Robespierre'a i Dantona oraz wielu innych wielkich i świętych osobistości historycznych, czyich imion niepodobna tu przytoczyć, lecz do których ja, jako Rosjanin, proszę nie zapomnieć włączyć świętego Mikołaja.

***

Tak więc doszliśmy do kwestii objawienia się Boga na ziemi. Lecz wraz z pojawieniem się Boga człowiek został unicestwiony. Powiedzą mi, że wcale się nie unicestwił, skoro jest cząstką Boga. Przepraszam! Przyznaję, że cząstka, że część pewnej określonej, ograniczonej całości, choćby była nie wiadomo jak mała, stanowi pewną ilość, pewną wielkość pozytywną. Ale część, ale cząstka wielkości nieskończonej jest bezsprzecznie w porównaniu z całością

podzielna jak materia. Oto jeszcze jedna tajemnica, którą trzeba pozostawić do rozwiązania wierze.

Gdyby Bóg mógł się pomieścić w całości w każdym człowieku, każdy człowiek byłby Bogiem. Istniałoby mnóstwo Bogów; każdy z nich byłby ograniczony przez pozostałych, będąc jednocześnie nieskończonym; sprzeczność, która prowadzi nieuchronnie do wzajemnego unicestwiania się ludzi, implikując niemożliwość istnienia większej liczby ludzi ponad jednego człowieka. Co zaś do cząstek – to jest rzecz inna: istotnie, twierdzenie, że jedna część jest ograniczona przez inną i że jest o wiele mniejsza niż jej całość, uważam za jak najbardziej racjonalne. A jednak występuje tutaj inna sprzeczność. Być przez coś ograniczonym, być większym i być mniejszym – są to własności materii, nie ducha. Niewątpliwie w rozumieniu materialistów mogą one stanowić własność ducha, ponieważ według nich realnie istniejący duch to tylko funkcja całkowicie materialnego organizmu człowieka; tak więc wielkość lub małość ducha zależy absolutnie od większej lub mniejszej materialnej doskonałości ludzkiego organizmu. Ale tych samych własności ograniczenia i względnej wielkości nie można przypisywać duchowi w rozumieniu idealistów, duchowi całkowicie niematerialnemu, duchowi istniejącemu poza wszelką materią. Tam nie może być ani większych, ani mniejszych, nie mogą istnieć żadne granice między duchami, ponieważ jest tylko jeden Duch – Bóg. Gdy się ponadto twierdzi, że nieskończenie małe i ograniczone części stanowiące dusze ludzkie są jednocześnie nieśmiertelne, doprowadza się sprzeczność do szczytu. Lecz to są już kwestie wiary. Idźmy dalej.

Takie, więc oto jest Bóstwo, rozdarte i rozmieszczone w nieskończenie małych cząstkach w olbrzymiej ilości istot obydwu płci, wszelkiego wieku, wszelkich ras i wszelkich kolorów. Tego rodzaju położenie nie jest dla niego wcale dogodne i pomyślne; w pierwszym bowiem czasie swego ludzkiego istnienia cząstki boskości tak rzadko się rozpoznają, iż zaczynają pożerać się wzajemnie. Jednakże w tym stanie barbarzyństwa i zupełnie zwierzęcej brutalności cząstki boskości, dusze ludzkie, zachowują mgliste wspomnienie swojej pierwotnej boskości, w hamowany sposób przyciąga je Całość; szukają siebie, szukają swojej Całości. Samo Bóstwo rozproszone i zagubione w świecie materialnym szuka siebie w ludziach; do tego jednak stopnia zniweczyła je owa wielka liczba więzień ludzkich, w których zostało rozsiane, że chcąc siebie odnaleźć, popełnia mnóstwo niedorzeczności.

Rozpoczęło od fetyszyzmu i starając się siebie odnaleźć, ubóstwiało samo siebie to w jakimś kamieniu, to w jakimś kawałku drewna, to znowu w szmatce. I jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że nigdy by się ze szmatki nie wy-

Państwo nie będzie się już nazywało Monarchią, nazywać się będzie Republiką, lecz nie przestanie przez to być Państwem, to jest kuratelą oficjalnie i według prawideł ustanowioną przez mniejszość kompetentnych ludzi, ludzi obdarzonych geniuszem pełnym cnót lub talentem, aby czuwała nad zachowaniem się tego dużego, niepoprawnego i okropnego dziecka, jakim jest lud, aby nim kierowała. Profesorowie Szkoły i urzędnicy Państwa będą się nazywali republikanami; lecz będą także opiekunami, pasterzami, lud zaś pozostanie tym, czym wiecznie był dotychczas – pozostanie trzodą. Strzeżcie się wtedy postrzygaczy; tam bowiem, gdzie jest trzoda, będą niechybnie także i ci, co strzygą i pożerają stado.

W tym systemie lud będzie wiecznym uczniem i małoletnim. Mimo suwerenności, całkowicie zresztą fikcyjnej, w dalszym ciągu będzie tylko narzędziem cudzej myśli i woli, a więc także i cudzych interesów. Między tą sytuacją a tym, co nazywamy wolnością, leży przepaść. W nowej formie wrócą dawny ucisk i dawna niewola; tam zaś, gdzie jest niewola, tam jest nędza, zezwierzęcenie, prawdziwe zmaterializowanie społeczeństwa, zarówno klas uprzywilejowanych jak i mas.

Idealiści, nadając charakter boski rzeczom ludzkim, doprowadzają zawsze do zwycięstwa brutalnego materializmu. A to dla bardzo prostej przyczyny: to, co boskie, ulatnia się i wzbija się ku swej ojczyźnie, ku Niebu, a tylko to, co brutalne, pozostaje realnie na ziemi.

Tak jest, idealizm w teorii prowadzi z nieuniknioną konsekwencją do najbardziej brutalnego materializmu w praktyce; niewątpliwie nie dotyczy to

---

koniecznej solidarności, tego prawa towarzyskości, które łączy wszystkich ludzi. Jeżeli jednak owa siła społeczna istnieje, to dlaczegóż nie zdołała dotychczas umoralnić, zhumanizować ludzi? Odpowiedź na to pytanie jest zupełnie prosta: dlatego, że ona sama nie została dotychczas zhumanizowana; a nie została zhumanizowana dlatego, że życie społeczne, którego jest zawsze wiernym wyrazem, jest oparte – jak wiadomo – na kulcie boskim, a nie na poszanowaniu człowieka; na władzy, nie na wolności; na przywilejach, nie na równości; na wyzysku, nie na braterstwie ludzi; na niesprawiedliwości i kłamstwie, nie na sprawiedliwości i prawdzie. A więc realne działanie owej siły społecznej, pozostające zawsze w sprzeczności z humanitarnymi teoriami, jakie głosi, wywierało zamiast wpływu moralnego – tylko wpływ zgubny i demoralizujący. Taka siła nie niweczy wad i przestępstw – ona je stwarza. A więc jej władza jest władzą boską, przeciwludzką; jej wpływ jest szkodliwy i zgubny. Chcecie, by stal się dobroczynny i ludzki? Dokonajcie rewolucji socjalnej. Sprawcie, żeby wszyscy solidarnie mogli dążyć do zaspokojenia wszystkich potrzeb, żeby zainteresowania materialne i społeczne poszczególnych jednostek stały się zgodne z ludzkimi obowiązkami każdego. A do tego prowadzi jedna tylko droga: zburzcie wszystkie instytucje nierówności; ugruntujcie ekonomiczną i społeczną równość wszystkich, a na tej podwalinie powstanie wolność, moralność, solidarna ludzkość całego świata. Powrócę raz jeszcze do tego najbardziej doniosłego zagadnienia socjalizmu.

tych, którzy głoszą idealizm w dobrej wierze – ci zresztą zwykle orientują się koniec końców, że wszystkie ich wysiłki okazały się bezowocne; dotyczy to tych, którzy usiłują wprowadzić swe reguły w życie w całym społeczeństwie, o ile ono daje się opanować przez idealistyczne doktryny.

Szereg dowodów historycznych potwierdza ten ogólny fakt, który na pierwszy rzut oka może się wydać dziwnym, lecz przy bliższym rozpatrzeniu tłumaczy się w sposób naturalny.

Porównajcie dwie ostatnie cywilizacje świata starożytnego: cywilizację grecką z cywilizacją rzymską. Która z nich ma bardziej materialistyczne, bardziej naturalne założenia, a bardziej humanitarnie-idealistyczne rezultaty? Cywilizacja grecka. Która zaś z nich jest w założeniu swoim bardziej abstrakcyjnie-idealistyczna, która poświęca materialną wolność człowieka idealnej wolności obywatela, reprezentowanej przez abstrakcyjną jurysdykcję, poświęca naturalny rozwój społeczeństwa ludzkiego abstrakcji Państwa; która z nich prowadzi do bardziej brutalnych konsekwencji? Bez wątpienia cywilizacja rzymska. To prawda, że cywilizacja grecka, jak wszystkie cywilizacje starożytne włącznie z rzymską, była wyłącznie narodową i że podwaliną jej było niewolnictwo. Lecz pomimo tych dwóch wielkich historycznych skaz ona pierwsza wysunęła i zrealizowała ideę człowieczeństwa; ona uszlachetniła i rzeczywiście wyidealizowała życie ludzkie; ona przeobraziła stada ludzkie w wolne stowarzyszenia wolnych ludzi; ona stworzyła nieśmiertelną naukę, sztukę, poezję i filozofię oraz elementarne pojęcie poszanowania człowieka przez wolność. Wraz z wolnością polityczną i społeczną stworzyła wolną myśl. I wystarczyło, by pod koniec średniowiecza, w epoce Odrodzenia, garstka emigrantów greckich przyniosła ze sobą niektóre ze swych nieśmiertelnych ksiąg do Włoch, żeby zmartwychwstało tam życie, wolność, myśl, człowieczeństwo, pogrzebane do tego czasu w ponurych mrokach katolicyzmu. Wyzwolenie człowieka – oto znamię cywilizacji greckiej. A imię cywilizacji rzymskiej? Jest nim podbój ze wszystkimi brutalnymi konsekwencjami. A jej ostatnie słowo? Wszechwładztwo cezarów. Poniżenie i niewolnictwo narodów i ludzi.

A co dziś jeszcze zabija, co niszczy brutalnie, materialnie wolność i człowieczeństwo we wszystkich krajach Europy? Zwycięstwo zasady cezaryzmu lub też zasady rzymskiej.

Porównajcie teraz dwie współczesne cywilizacje: cywilizację włoską z cywilizacją niemiecką. Pierwsza w swym ogólnym charakterze jest niewątpliwie materialistyczna, druga natomiast reprezentuje wszystko to, co najbardziej abstrakcyjne, najbardziej czyste i najbardziej transcendentne w idealiną, wyjałowioną i sprowadzoną do absolutnej nędzy na skutek systematycznego plądrowania tych Prusaków myśli, to jest teologów i metafizyków, którzy wszystko zrabowali, aby wszystko dać swemu cesarzowi, swemu Bogu; w tę materię, która, pozbawiona wszelkiej własności, wszelkiego działania i wszelkich ruchów jej właściwych, przedstawia się, w przeciwieństwie do idei boskiej, tylko jako absolutna głupota, nieprzenikliwość, bierność i bezwład.

Upadek jest tak straszny, że Bóstwo, boska osoba czy idea płaszczy się, traci świadomość samej siebie i nigdy już odnaleźć siebie nie może. I w tym tak rozpaczliwym położeniu jest jeszcze zmuszona czynić cuda! Z chwilą bowiem gdy materia jest bierna, wszystkie zmiany zachodzące w świecie, nawet najbardziej materialne, są cudem, nie mogą być niczym innym, tylko wynikiem boskiej interwencji, wynikiem oddziaływania Boga na materię. I oto to biedne Bóstwo, zdegradowane i prawie unicestwione na skutek swego upadku, pozostaje w stanie omdlenia w ciągu kilku tysięcy wieków, po czym z wolna się budzi, usiłując daremnie odzyskać jakieś niejasne choćby wspomnienie o sobie samym; i każda zmiana, jaką ono wprowadza w tym celu do materii, staje się tworem, nową formacją, nowym cudem. W ten sposób Bóstwo przechodzi przez wszystkie stopnie materialności i zwierzęcości; najpierw jako gaz, ciało chemiczne, proste lub złożone, jako minerał, po czym rozprzestrzenia się na ziemi jako organizm roślinny i zwierzęcy, następnie koncentruje się w człowieku. Tutaj powinno by siebie – jak się wydaje – odnaleźć, ponieważ w każdej istocie ludzkiej wznieca iskrę anielską, cząstkę swojej własnej boskiej istoty – duszę nieśmiertelną.

Jak mu się udało umieścić rzecz absolutnie niematerialną w rzeczy absolutnie materialnej; w jaki sposób ciało może w sobie zawrzeć, zamknąć, ograniczyć i paraliżować czystego ducha? Oto jeszcze jedno pytanie, które rozstrzygnąć może tylko wiara, ta namiętna i głupia afirmacja niedorzeczności. Jest to największy z cudów. W tym względzie nie mamy nic innego do roboty niż konstatować skutki, praktyczne konsekwencje tego cudu.

Po upływie tysięcy wieków, podczas których daremnie usiłowało powrócić do siebie, Bóstwo, zgubione i rozproszone w ożywionej i wprowadzonej przez się w ruch materii, znajduje wreszcie punkt oparcia, rodzaj ogniska pozwalającego mu się skoncentrować. Tym punktem jest człowiek, jego nieśmiertelna dusza uwięziona w osobliwy sposób w śmiertelnym ciele. Ale każdy człowiek wzięty z osobna jest zbyt ograniczony, zbyt mały, żeby objąć bezmiar boskości; on może zawrzeć w sobie tylko niezmiernie drobną cząstkę, nieśmiertelną jak Całość, lecz nieskończenie mniejszą od Całości. Z tego wynika, że Istota boska, Istota absolutnie niematerialna, Duch, jest tak samo

przyczyna natury moralnej. Ale jaka? Może być tylko jedna: bez wątpienia ci znakomici ludzie myślą, że teorie czy wierzenia idealistyczne są istotnie niezbędne, aby utrzymać godność i moralną wyższość człowieka, natomiast teorie materialistyczne sprowadzają go do zwierzęcego poziomu.

A jeżeli w rzeczywistości jest odwrotnie?

Każdy rozwój – jak powiedziałem – mieści w sobie negację punktu wyjścia. Jeżeli punkt wyjścia – według szkoły materialistycznej – jest materialny, to jego negacja musi być koniecznie idealna. Wychodząc od całości świata realnego, czyli tej abstrakcji, którą nazywa się materią, materializm logicznie dochodzi do rzeczywistego idealizmu, to znaczy do humanizacji, do pełnego i całkowitego wyzwolenia społeczeństwa. Tymczasem z tej samej przyczyny szkoła idealistyczna wychodząc od ideału dochodzi z konieczności do zmaterializowania społeczeństwa, do zorganizowania brutalnego despotyzmu oraz niesprawiedliwego i nikczemnego wyzysku pod postacią Kościoła i Państwa. Według szkoły materialistycznej historyczny rozwój człowieka jest ciągłym wznoszeniem się, w systemie idealistycznym jest tylko ciągłym upadkiem.

Niezależnie od tego, które z zagadnień dotyczących człowieka weźmie się pod rozwagę, zawsze staniemy wobec tej samej sprzeczności zachodzącej między stanowiskami obu szkół. A więc – jak już mówiłem – materializm wychodzi od zwierzęcości, aby ustanowić człowieczeństwo; idealizm wychodzi od boskości, aby ustanowić niewolnictwo i skazać masy ludzkie na zwierzęcość, z której nie ma wyjścia. Materializm neguje wolną wolę i prowadzi do ustanowienia wolności; idealizm głosi w imię godności ludzkiej zasadę wolnej woli i na ruinach wszelkiej wolności buduje władzę. Materializm odrzuca zasadę władzy, ponieważ uważa – z całą słusznością – że jest ona ukoronowaniem zwierzęcości, i wbrew idealistom twierdzi, że zwycięstwo człowieczeństwa, które jest według niego celem i głównym sensem historii, może być zrealizowane jedynie przez wolność. Słowem, jakiekolwiek zagadnienie będziecie rozpatrywali, zawsze schwytacie idealistów na gorącym uczynku urzeczywistniania w praktyce materializmu; ujrzycie natomiast, że materialiści zmierzają do realizacji najbardziej idealnych dążeń i myśli.

Jak już powiedziałem, w systemie idealistycznym dzieje mogą być traktowane tylko jako ciągły upadek. Początek dziejów to straszliwy upadek i z niego nigdy się idealiści nie podźwigną: od bożego salto mortale z podniosłych sfer czystej, absolutnej Idei w materię. I zauważcie jeszcze, w jaką materię: nie w tę materię odwiecznie aktywną i ruchomą, pełną właściwości i sił, życia i rozumu, którą obserwujemy w świecie realnym; ale w materię abstrakcyj-

zmie. Zobaczmy, jakie owoce przyniosła jedna i druga cywilizacja w praktyce.

Włochy oddały już kolosalne usługi w dziele ludzkiego wyzwolenia. One pierwsze w Europie wskrzesiły i zastosowały szeroko zasadę wolności, one pierwsze zwróciły ludzkości tytuły jej szlachectwa: przemysł, handel, poezję, sztukę, nauki pozytywne i wolną myśl. To prawda, że dławione w ciągu trzech stuleci przez despotyzm państwowy i papieski, unurzane w błocie przez swą stojącą u władzy burżuazję, dziś zdają się być niczym w porównaniu z tym, czym były kiedyś. A jednak jakaż różnica, gdy je porównać z Niemcami! Pomimo przejściowego, miejmy nadzieję, upadku Włoch można w nich żyć i oddychać po ludzku, żyć swobodnie wśród ludu, który wydaje się być dla wolności urodzonym. Nawet burżuazyjne Włochy mogą wam z dumą przedstawić takich ludzi, jak Mazzini i Garibaldi. W Niemczech dławi atmosfera skrajnego politycznego i społecznego niewolnictwa, które wielki naród filozoficznie wyjaśnił i przyjął dobrowolnie i ze świadomą biernością. Ich bohaterowie – mówię ciągle o współczesnych Niemczech, nie o Niemczech przyszłości, mówię o Niemczech junkierskich, biurokratycznych, politycznych i burżuazyjnych, nie o Niemczech proletariackich – ich bohaterowie są całkowitym przeciwstawieniem Mazziniego i Garibaldiego: dziś jest to Wilhelm I, okrutny i naiwny przedstawiciel protestanckiego Boga, są to pp. von Bismarck i von Moltke, generałowie Manteuffel i Werder. Odkąd Niemcy istnieją, prowadziły systematycznie w stosunkach międzynarodowych politykę zaborczą, zdobywczą, gotowe zawsze narzucić dobrowolnie przez siebie przyjęte jarzmo sąsiednim narodom; odkąd zaś stały się potęgą zjednoczoną – grożą niebezpiecznie wolności całej Europy. Imię Niemiec jest dzisiaj synonimem brutalnej i tryumfującej służalczości.

Wszystkie Kościoły chrześcijańskie, i oczywiście przede wszystkim Kościół apostolski i rzymski, mogą dostarczyć nam przykładu, jak nieustannie i nieuchronnie idealizm teoretyczny przekształca się w praktyczny materializm. Cóż może być bardziej wzniosłego w sensie idealnym, bardziej bezinteresownego, bardziej oderwanego od wszelkich spraw tej ziemi niż głoszona przez ten Kościół doktryna Chrystusa – i jakiż materializm może być bardziej brutalny od praktyki tegoż Kościoła, niezmiennej od ósmego stulecia, w którym rozpoczął budowę swej potęgi? Co było i jest jeszcze teraz przedmiotem wszystkich jego sporów z władcami Europy? Najpierw dobra doczesne, dochody kościelne, a następnie władza świecka, polityczne przywileje Kościoła. Należy oddać Kościołowi sprawiedliwość, iż on pierwszy w historii nowożytnej dokonał odkrycia tej niezaprzeczalnej, choć mało chrześcijańskiej praw-

dy, że bogactwo i siła, wyzysk ekonomiczny i polityczne ciemiężenie mas – są to dwie rzeczy nierozłącznie związane z panowaniem idei boskiej na ziemi: bogactwo, które wzmacnia i zwiększa władzę, władza, która odkrywa i stwarza coraz to nowe źródła bogactw, jedno i drugie łącznie zapewniające lepiej niż męczeństwo i wiara apostołów, a także lepiej niż łaska boża powodzenie chrześcijańskiej propagandy.

Jest to prawda historyczna, z którą i Kościoły protestanckie również się liczą. Mówię to oczywiście o niezależnych Kościołach w Anglii, Ameryce i Szwajcarii, a nie o poddanych kontroli Kościołach w Niemczech. Kościoły w Niemczech nie mają wcale własnej inicjatywy; robią to, co ich panowie, ich władcy świeccy, będący zarazem ich przywódcami duchowymi, robić im każą. Jest rzeczą znaną, że propaganda protestancka, zwłaszcza w Anglii i Ameryce, wiąże się bardzo ściśle z propagandą uprawianą przez te dwa wielkie narody w sprawach materialnych i handlowych; wiadomo również, że ta protestancka propaganda nie ma na celu bynajmniej bogactwa i dobrobytu krajów, w które przenika, niosąc słowo boże, lecz ich eksploatację, która by wzbogaciła i podniosła dobrobyt pewnych klas bardzo pobożnych, lecz jednocześnie wyzyskujących lud w swym własnym kraju.

Słowem, opierając się na historii, nietrudno dowieść, że Kościół, że wszystkie Kościoły chrześcijańskie i niechrześcijańskie nigdy nie zaniedbywały – obok propagandy duchowej i prawdopodobnie także po to, aby przyspieszyć i wzmocnić swe sukcesy – organizowania się w wielkie stowarzyszenia mające na celu ekonomiczną eksploatację mas, eksploatację ich pracy, stowarzyszenia pozostające pod opieką oraz bezpośrednim i szczególnym błogosławieństwem jakiegoś bóstwa; że głównym celem wszystkich Państw – które, jak wiadomo, w swych początkach wraz ze wszystkimi swymi instytucjami politycznymi i prawnymi, panującymi i uprzywilejowanymi klasami stanowiły tylko świeckie filie różnych Kościołów – była ta sama eksploatacja na korzyść świeckich mniejszości, eksploatacja pośrednio uprawiana przez Kościół; i że w ogóle działanie dobrego Boga oraz wszystkich idei boskich na ziemi ostatecznie doprowadzało zawsze i wszędzie do tego, że materialna pomyślność drobnej garstki rosła na gruncie fanatycznego idealizmu stale głodujących mas.

To, co widzimy obecnie, jest tego nowym dowodem. Któż jest dzisiaj bardziej zaciekłym obrońcą idealizmu poza tymi wielkimi zbłąkanymi sercami i umysłami, o których już przedtem mówiłem? W pierwszym rzędzie wszystkie dwory panujących. We Francji był to Napoleon III i jego małżonka, pani Eugenia; byli to wszyscy jego eks-ministrowie, dworzanie

i eks-marszałkowie, od Rouhera i Bazaine'a do Fleury'ego i Pietriego; są to mężczyźni i kobiety tego cesarskiego świata, którzy tak dobrze idealizowali i ratowali Francję. Są to jego dziennikarze oraz jego uczeni: Cassagnakowie, Girardinowie, Duvernoisowie, Veuillotowie, Laverrierowie, Dumasowie. To wreszcie czarna falanga jezuitów i jezuitek wszelkiego pokroju; to cała szlachta oraz cała wielka i średnia burżuazja Francji. Do tych obrońców idealizmu należą także doktrynerzy liberalni oraz liberałowie bez doktryny: Guizotowie, Thiersowie, Jules Favre'owie, Pelletanowie i Jules Simonowie – wszyscy zacięci obrońcy burżuazyjnego wyzysku. W Prusach, w Niemczech – Wilhelm I, prawdziwy współczesny przedstawiciel Pana Boga na ziemi, oraz wszyscy jego generałowie, wszyscy pomorscy i inni oficerowie, cała jego armia, która, silna swą wiarą religijną, podbiła właśnie Francję, a wiadomo, jak „idealne" były jej metody. W Rosji to car i cały jego dwór; to Murawjowowie i Bergowie, ci wszyscy, którzy mordowali i pobożnie nawracali Polskę. Słowem, wszędzie idealizm religijny lub filozoficzny, jeden bowiem oznacza mniej więcej to samo co drugi, służy dziś za sztandar materialnej, krwiożerczej i brutalnej siły, materialnego bezwstydnego wyzysku; gdy tymczasem sztandar teoretycznego materializmu, czerwony sztandar równości ekonomicznej i sprawiedliwości społecznej, wznoszony przez praktyczny idealizm uciemiężonych i wygłodzonych mas, dąży do realizacji jak największej wolności i humanitarnego prawa, z których korzystałaby każda jednostka zbratana ze wszystkimi ludźmi na ziemi.

Któż, więc jest prawdziwym idealistą, idealistą nie abstrakcyjnym, lecz realnym, nie niebieskim, lecz ziemskim, a kto materialistą?

Jest rzeczą oczywistą, że zasadniczą własnością teoretycznego czy boskiego idealizmu jest to, że składa on w ofierze logikę, rozum ludzki, wyrzeka się nauki. Z drugiej strony widać, że każdy, kto broni doktryn idealistycznych, jest siłą rzeczy wciągnięty do obozu ciemięzców i wyzyskiwaczy mas ludowych. Te dwie przyczyny – zdawałoby się – powinny wystarczyć, by zniechęcić do idealizmu każdy wielki umysł, każde wielkie serce. Jak to się więc dzieje, że nasi znakomici współcześni idealiści, którym na pewno nie brak ani rozumu, ani serca, ani dobrej woli, którzy całe swe życie oddali służbie dla ludzkości, uparcie tkwią w szeregach przedstawicieli tej obecnie potępionej i zniesławionej doktryny?

Muszą ich do tego skłaniać poważne przyczyny. Nie wpłynęła na nich ani logika, ani nauka, ponieważ logika i nauka wydały wyrok na doktrynę idealistyczną. Nie mogą mieć także na celu korzyści osobistych, ponieważ stoją ponad wszystkim, co nosi miano osobistej korzyści. Musi to więc być ważka